Nr. 7. Warszawa, dnia 6 (18) Lutego 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Nowoprzybywającym abonentom nie możemy dostarczyć styczniowych i lutowych numerów ***Prawdy***, *gdyż są wyczerpane.*

POLITYKA.

Uchwała z d. 10 Lutego.

Zdrowy rozsądek i duch obywatelski większości w komisyi sejmowej, której oddano do roztrząśnięcia projekt prawa, zmieniającego organizacyę sądu kasacyjnego w razie rewizyi uprawomocnionych już wyroków — daremnie odwołały się do zdrowego rozsądku i ducha obywatelskiego francuskiej Izby deputowanych. D. 10 b. m. Izba 332 głosami przeciw 216 uchwaliła projekt, a uchwałą tą przekonała i większość komisyi, i Francyę i wszystko, co w świecie zjawiska życia głębszem chwyta okiem, że nie chce mieć ani zdrowego rozsądku, ani ducha obywatelskiego, że stłumiła już w sobie nawet republikański instynkt, a zrozumienie rzeczywistej prawowitości w państwie, w jego organach i funkcyach — pozostawia tym, którzy nad nią miecz złamią, gdy go wywołane przez nią samą niebezpieczeństwo z rąk jej wytrąci. Przyjęcie projektu przez Izbę jest już sądem na nią: większość, o ile była uczciwie republikańską, wpadła w zasadzkę. Teraz już potrzeba będzie walczyć o życie.

Karygodnym już był projekt rządowy jako ustępstwo dla tak zwanej opinii, to jest dla krzyków armii i cywilnych jej obrońców, pod tarczą honoru wojskowego, a pośrednio i narodowego, spiskujących przeciw rzeczypospolitej. To była owa *opinia*. Kiedy Beaurepaire, jeden z prezesów wydziałowych sądu kasacyjnego, podawał się buńczucznie do dymisyi, oskarżając pięciu kolegów swoich o stronne prowadzenie śledztwa — nie było to działanie z własnej pobudki, kontrolowanej przez rozsądek i moralność, nie było nawet samoistne przywidzenie pedanta lub człowieka obrażonego w swym egoizmie: był spisek. Tajemnie porozumiano się, jakby udaremnić przewidywaną już rewizyę, grożącą potędze instytucyi republikańskich i wyznaczono Beaurepaire'a do rozpoczęcia nowej kampanii przeciwko rzeczypospolitej i jej sprawiedliwości. Beaurepaire zrobił swoje. Zarządzono śledztwo dyscyplinarne. Pierwszy prezydent Mazeau nie znalazł plam wskazywanych przez spiskowca, wyraził się jednak, że pożądanem byłoby otoczenie przyszłego wyroku jak największemi rękojmiami.

Tego tylko chciała owa „opinia,“ aby na swojem postawić. Rząd z jej ust, z jej dzienników, wziął swój projekt, mający właśnie otoczyć wyrok jak największemi rękojmiami, i w projekcie tym, zamiast normalnego wyrokowania w wydziale karnym, postawił jako normę na przyszłość wydawanie wyroków w całkowitym składzie sądu. Gdyby taka zmiana dokonana być miała bez namiętności politycznych, bez zamachów na dzisiejszą formę rządu, po za wszelką kwestyą osób i spraw konkretnych: gdyby czyste tylko przywiązanie do sprawiedliwości, czysta troska o nią była jedyną pobudką działania — nie możnaby nie mieć przeciwko poczatkowaniu rządowemu: im większa kolegialność w sądzie, tem większe prawdopodobieństwo dobrego wyroku. Ale rząd, kując swój projekt, dorabiał sprawiedliwość do faktu; ulegał pobudce politycznej: uspakajał wzruszoną opinię: ustępował przed wichrzycielstwem, które na instytucyę najwyższego sądu narodowego napadało; zmianę prawodawczą zaprojektował podczas toczącej się już rewizyi sprawy konkretnej, dla wywarcia wpływu na jej dalszy przebieg: i dlatego trzeba ministrów francuskich uważać za działających nierozumnie i szkodliwie, trzeba w nich widzieć wspólników tej w dalszym ciągu bulanżerówki, w którą tak doskonale wchodzą wszystkie nienawiści ku rzeczypospolitej, a która nie ukoi się, dopóki jej powalonej u stóp swoich nie ujrzy.

Gdy sprawozdawca Renault-Morliere, gdy Millerand i Pelletan ukazywali z po za procesu Dreyfusa, a raczej procesu wydanego w roku 1894 wyroku, wyzierające oblicze reakcyi, która już raz, w r. 1851, zdusiła rzeczpospolitą — nie były to czcze deklamacye. Niebezpieczeństwo jest: grozi Francyi opanowanie rzeczypospolitej przez sprzysiężenie zachowawcze: grozi jej rozbicie większości w Izbie i w kolegiach wyborczych: grozi żądza wytworzenia choćby tylko mniejszości, tak znacznej, żeby z pomocą armii zamach stanu mógł liczyć na powodzenie: grozi oswojenie się z zamachami politycznymi przez praktykę zamachów prawodawczych; grozi to wypalanie się ciągłe zasad i ideałów, a wybłyskiwanie coraz to nowych ogników *interesu*, nakazującego robić dziś to, jutro co innego; grozi jej coraz bardziej rozdziawiająca się przepaść między republikanizmem umiarkowanym a krańcowym, między tymi, którzy szczerze chcą utrzymać to, co mają dziś, a tymi, którzy jutro pragną posiąść

więcej. Jak w r. 1850—1 Bonaparte wyjechał na armii i lichej większości w Izbie, jak umiał utopić Orleańczyków w bonapartyzmie, tak w obecnym nastroju dziejowej psychologii narodu francuskiego armia i licha większość w Izbie odegrać mogą rolę współsprawców nowego przewrotu. Idea „porządku“ pozaciera różnice, uśmierzy kłótnie. Zostanie tylko jeden obóz monarchiczny — i z niego wyjdzie nowy człowiek, nowe zbawienie.

Tydzień polityczny. D. 7 b. m. ministrowie angielscy zagaili parlament tegoroczny. Mowa tronowa nic powiedziała nic. Oznajmiono wiele projektów, a wśród nich i rozbicie Londynu-olbrzyma, na mniejsze całostki administracyjne. Stronnictwa rządzące lękają się rozrostu nietylko wszerz, ale i w głąb.—W naradach nad adresem do tronu w Izbie niższej gawędzono o zabezpieczeniu interesów angielskich w Chinach. Rząd uspakajał obawy ciągłymi postępami dyplomacyi angielskiej. Do stycznia 1898 mogło się istotnie zdawać że Anglię wyparują z Chin; od stycznia r. z. już się nie zdaje. Otwarcie doliny Jang-tse-kiangu jest nawet wielką zdobyczą. Za dwa miesiące otwartych będzie 14 portów, a już w lutym r. b. nadto, wymówiono sobie Nankin. Dróg żelaznych ustąpionych mają kapitały angielskie przed sobą do zbudowania 2,800 mil. Pożądanem jest — uspakajał rząd— aby nic od Chin nie odpadło, ale gdy się ma do czynienia z rządem do samoobrony niezdolnym, co począć? Porozumieć się z Rosyą — odpowiada p. Edward Grey—ale porozumieć się otwarcie, szczerze. Ta myśl pozostała, nie wywietrzała. Bartlett cofnął swą poprawkę.

W senacie francuskim rozprawy nad projektem, zmieniającym organizacyę sądu kasacyjnego rozpoczną się dopiero 23 b. m. lub później. Tymczasem jedni wróżą odrzucenie, drudzy przyjęcie; to drugie pewniejsze.

W sejmie Rzeszy niemieckiej p. Bülowa, sekretarza stanu do spraw zagranicznych, jako podkanclerzego, spotkała wielka przyjemność: dawny jego poprzednik, boczący się na rząd, ks. Herbert Bismarck, uznał jego politykę, dla Anglii życzliwą, za jedynie dobrą, a jego samego za jedynie umiejącego prowadzić interesa Rzeszy. Bardzo jeszcze być może, iż cesarz Wilhelm wróci do Bismarcka i po skonie Hohenlohego odda kanclerstwo ks. Herbertowi.

P. Witting, burmistrza Poznania, uspokoił patryotów, wątpiących o trwałości urzędowego i nieurzędowego hakatyzmu, że wszystko to, co rząd robi przeciwko Polakom i polskości — wypływa z osobistej woli cesarza. Patryoci teraz już spokojnie spać mogą.

Zmarł b. kanclerz Caprivi. Cesarz nie zaniedbał mu poświęcić gorącego wspomnienia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POMYŚLNA WRÓŻBA.

W kwietniu odbędzie się ogólne posiedzenie warszawskiego Towarzystwa przemysłu i handlu. Przedstawiciele każdej sekcyi wygłoszą z zakresu swej dziedziny rozprawę na temat o wpływach postępu wiedzy na praktykę życiową. Będzie to więc zawiązek wspólnej pracy, łączności tych płomyków, które dotychczas pomimo, że mają stanowić jedno ognisko różnorodnych pól naszego życia, palą się pod osobnymi kloszami. Prawda, że każda sekcya, przeprowadzając jakąś ważną sprawę, musi ją oprzeć o zarząd, który następnie popycha dalej. Życie jednak płynie dość wartko, ogarnia masy całe, łączy ich wspólnością interesów, wymagających częstego porozumiewania się. Cukrownictwo stanowi osobną grupę wielkiego przemysłu fabrycznego, który wszakże wyrósł na gruncie rolnictwa, ściśle z niem jest związany i od niego zależy. A jednak w chwili gdy plantatorowie buraków toczyli zawziętą walkę z właścicielami cukrowni, gdy ta walka przeszła dość gorącą strugą na szpalty pism, sekcye radziły osobno, poprzestając tylko na delegowanych paru przedstawicielach, którzy się wizytują podczas posiedzeń i następnie wyniki obrad komunikują swojemu „prezydyum.“

Takie pośrednictwo nie zawsze jest stosowne i skuteczne, dużo się traci czasu na długą procedurę porozumiewania. Mieliśmy przykład w ubiegły poniedziałek. Na posiedzeniu sekcyi rolnej p. Rutkowski poruszył ważną sprawę budowania nowych cukrowni i przyszedł do wniosku, że przykre położenie ziemian w stosunku do cukrownictwa może się zmienić wtedy, gdy sami ziemianie zostaną współwłaścicielami tej gałęzi przemysłu i że tylko w takim razie nowe fabryki będą mogły wlec swoje istnienie *). Przytem poruszono takie mnóstwo ważnych wspólnych interesów przemysłu cukrowniczego i rolnego, że sama sekcya rolna nie może ich rozstrzygnąć i załatwić, lecz tylko za pomocą wspólnych narad obu grup interesowanych.

Jak ta łączność jest potrzebna, dowodzą nieraz delegacye mieszane z różnych sekcyj Towarzystwa przemysłu i handlu, a nawet z innych instytucyj, ogniskujących sprawy ekonomiczne naszego kraju. Przed paru laty np. delegacyę w sprawie walki ze szkodnikami rolnymi stworzyły wspólnie sekcya rolna i Towarzystwo ogrodnicze.

Takie wylewanie się spraw życia naszego po za ścianki przegródek sekcyjnych powinno być bardzo pouczającą wskazówką, jak należy zadośćuczynić potrzebom, przy pomocy instytucyj publicznych.

Tymczasem obok pojedynczych faktów łącznej pracy i wspólnych zabiegów. wszelka działalność stała w lonie Towarzystwa przemysłu i handlu kołacze ciągle w tych przegródkach. Sekcya techniczna stworzyła sobie coś w rodzaju biura pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy i zarobkodawców. Sekcya rolna napomykała kiedyś o takiej organizacyi i od lat dziesięciu mimochodem porusza czasem sprawę zabezpieczenia i naprawy bytu oficyalistów wiejskich. Inne sekcye zupełnie o tem milczą. A przecież zgrupowane tam interesy rzemieślników, handlowców, przemysłowców, rolników, techników, chemików, cukrowników itd. powinny obejmować także wyszukiwanie i warunki pracy dla ludzi wszystkich tych zawodów.

Otóż tylko na ogólnem posiedzeniu sekcyj można byłoby tę sprawę doniosłą należycie roztrząsnąć, opracować, przeprowadzić i wcielić w życie. Towarzystwo przemysłu i handlu mogłoby stworzyć jedno wspólne dla wszystkich sekcyj biuro poszukiwania pracy. Miałoby ono większą powagę i siłę, zarówno moralną, jak i materyalną. Sprawa ta jest bardzo pilna, więc radzimy zarządowi Towarzystwa, niezależnie od tematu: o wpływach postępu wiedzy na praktykę życiową, poruszyć jeszcze inny, bardzo ściśle z tą praktyką związany: o wpływie techniki i kapitału, posługujących się nauką, na warunki pracy. Dyskusya nad tym przedmiotem doprowadziłaby do wniosku, że trzeba stworzyć ogólne biuro poszukiwania pracy, które przedewszystkiem zajęłoby się zbadaniem dokładnem warunków tej pracy i jej zapotrzebowania w całym kraju. Tego rodzaju „ankieta“ zbiorowa dałaby się szybciej i skuteczniej przeprowadzić, niż wszelkie w tej mierze próby czynione przez sekcye, a nawet delegacye pojedyncze. Zbieranie informacyj takich w całym kraju powinno się odbywać peryodycznie, przynajmniej raz do roku. Tym sposobem biuro wyrobiłoby sobie powagę, zarówno w opinii zarobkodawców, jak i pracowników, a nasza młodzież kształcąca się w różnych specyalnościach nie szłaby po omacku i nie wytwarzałaby nadmiaru inteligencyi fachowej w pewnych dziedzinach, a z drugiej strony nie zaniedbywałaby takich pól pracy ekonomicznej, które dziś wysychają i jałowieją z braku ludzi należycie uzdolnionych.

Miejmy nadzieję, że zapowiedziane ogólne posiedzenie wszystkich sekcyj w kwietniu będzie dobrą wróżbą na przyszłość, że niejedna tam sprawa, poruszona przez przedstawicieli różnych dziedzin pracy i interesów, uniknie fatalnych szuflad, albo długiej wędrówki, lecz wypłynąwszy bezpośrednio z życia, zrealizuje się, przybierze formy konkretne i wróci do tego życia, ażeby naprawiniejego warunki i przyczyniać się do rozwoju.

*) O tym przedmiocie pomówimy osobno.

LISTY PETERSBURSKIE.

Kara warunkowa. — Reforma systemu więziennego. — Zniesienie wygnania. Warunkowe skrócenie terminu kary. Duchoborcy. Reformy w Finlandyi.

Na drugim zjeździe rosyjskiego oddziału „międzynarodowego związku kryminologów“ w Petersburgu poruszono bardzo ważną sprawę — wprowadzenie do prawodawstwa instytucyi kary wyjątkowej. Kryminolodzy wychodzą z tego stanowiska, że kara taka jest najlepszym środkiem zwalczania przestępności wypadkowej, że zatem powinna być wprowadzona jak najprędzej, gdyż jest to zasada sprawiedliwości, humanitarności i korzyści państwowej. Ta nowa forma kary polega na tem, że sąd, po uznaniu winy oskarżonego i po określeniu kary według kodeksu, wstrzymuje się na pewien czas od jej wykonania. Jeżeli oskarżony w terminie oznaczonym nie popełni żadnego czynu nowego, któryby świadczył o jego upadku moralnym, wisząca nad nim kara może być zupełnie zniesiona.

Kara warunkowa oczywiście dotyczy tylko przestępców wyjątkowych, tj. takich, którzy nie są zbrodniarzami z urodzenia, lecz dopuścili się przestępstwa pod wpływem fatalnych okoliczności i wypadków, wbrew swojej naturze niezepsutej i nieskłonnej do czynów karygodnych. System ten istnieje i zaczyna się coraz bardziej rozszerzać za granicą i wydaje tam podobno bardzo pomyślne rezultaty. Wniosek wprowadzenia tej reformy w Rosyi znalazł żarliwych zwolenników, ale zarazem

i przeciwników nieprzejednanych, którzy ostro krytykują tę postać kary, mając na uwadze życie. warunki i cechy społeczeństwa, zasadniczo różniące się od zachodnio-europejskich.

W szeregu przeciwników tego rodzaju znalazł się także p. Seliwanow, który zabrał głos w *Peterb. Wiedomostiach.* Zaznacza on przedewszystkiem, że instytucya kary warunkowej zawdzięcza jeżeli nie istnienie, to swój rozwój brakowi więzień, które nietylko nie wpływają na poprawę przestępców, lecz przeciwnie — psują ich moralnie do reszty. A jeżeli stamtąd wychodzą jeszcze nie skażeni do gruntu, to dzieła zniszczenia moralnego zawsze dokona nadzór policyjny po odbyciu kary. „Nadzór ten nie pozwala człowiekowi drogą uczciwą zdobyć kawałka chleba.“ Dostawszy się do więzienia, a następnie pod nadzór, człowiek taki z przestępcy wypadkowego, z ofiary nieszczęśliwego zbiegu okoliczności stawał się zbrodniarzem zawodowym. Wybitni kryminolodzy francuscy dowodzą, że system oddawania pod nadzór policyjny był przyczyną ogromnej liczby recydywistów.

Więzienie, nawet dobrze zorganizowane, nie oddziaływa poprawczo na więźnia krótkoterminowego. Zresztą więzienie zawsze było uważane za „akademię przestępstwa,“ więc kto z niego wyszedł, nie mógł nigdy wrócić do społeczeństwa jako zrehabilitowany. Zaczęto tedy myśleć o zmianie więzień. Wydano olbrzymie sumy na ich ulepszenie i postanowiono dążyć do tego, ażeby się one stały zakładami poprawczymi. Czy nawet tak udoskonalone w przyszłości, potrafią one swym wychowańcom wyrobić bezwzględne zaufanie społeczeństwa?

Jako środek przeciwdziałający zabójczemu wpływowi więzienia, wynaleziono karę warunkową, która w razie ponownego przestępstwa spada na złoczyńcę z podwójnym ciężarem. P. Seliwanow w tym systemie podchwytuje słabą stronę i zaznacza niezgodność teoryi z życiem. Wszelki czyn przestępny jest z góry wzbroniony. Wszelka kara, grożąca za czyny zbrodnicze, przynosi z sobą cierpienie. Cel kary jest potrójny: nastraszyć człowieka o słabej woli, pogodzić przestępcę z jego sumieniem i wreszcie poprawić go. Otóż, jak twierdzi p. Seliwanow, kara warunkowa nie odpowiada ani jednemu z tych celów. „Skoro kary nie zastosowano — nie ma represyi, a więc czyn występny pozostaje nieukarany. Obrońcy systemu powyższego mówią, że represya zawiera się jakoby w wiszącej nad przestępcą groźie kary w razie popełnienia powtórnie czynu zbrodniczego. Obawa kary za przestępstwo? — wszakże ta obawa przez całe życie wisi na każdym człowiekiem, mieszkającym w państwie, w którem istnieje kodeks kryminalny. Zwiększenie zaś stopnia kary dla tego, który nie jest zagrożony karą warunkową, nie ma żadnego znaczenia. Skoro zaś w tym systemie niema represyi, to oczywiście nie może on wpłynąć na pogodzenie przestępcy z sumieniem. Wydając prawo, powinniśmy baczyć na to, ażeby ono było zgodne z pojęciem ludności o rzeczach sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Co dobre dla Belgii lub Ameryki, to często zupełnie jest niezdatne dla nas. Rosyanin nigdy nie będzie uważał kary warunkowej za karę.“

Takie zapatrywania wygłasza p. Seliwanow i zdaje się ma wielu zwolenników. Przewiduje on przytem chaos, który może powstać przy klasyfikacyi przestępców i rodzaju przestępstw, podlegających karze warunkowej. Oczywiście sceptycyzm ten pod wielu względami nie ma podstaw: kary warunkowej nawet ciemne tłumy nigdy nie mogą uważać za bezkarność, bo to przecież jest wyrok, tylko trzymany w odwłoce, a więc zarazem stanowi udręczenie moralne, czyli cierpienie, które jest treścią wszelkiej kary.

W ścisłym związku z powyższą kwestyą pozostaje reforma systemu więziennego i wygnania w Rosyi. W sprawie tej niedawno zabrało głos pismo fachowe — *Tiuremnyj Wiestnik* — stanowczo głosujące za zniesieniem wygnania. Dałoby to, zdaniem jego, bardzo zbawienne rezultaty. Przedewszystkiem usunęłoby wzrastające zepsucie mas przestępców podczas deportacyi. Nadto przyniosłoby korzyść i pod innymi względami: Obecnie przewóz przestępców do miejsc wygnania pochłania olbrzymie sumy, które można byłoby użyć na reformę więzień. Prawda, że reforma ta wymaga na razie ogromnych wydatków. ale w przyszłości za to na deportacyi oszczędziłoby się dużo. W okresie dziewięcioletnim 1883—1894 (nie licząc 1887 i 1892, w których było większe wahanie) przeciętny roczny koszt wysłania na Syberyę jednego skazańca wynosił 110 rb. 40 kop. Ale ta suma nie jest zupełna, gdyż nie obejmuje wydatków na utrzymanie konwoju i etapów. Gdy się doda te pozycye, koszt zwiększy się znacznie. Przeciętny koszt przewozu jednego skazańca na Sachalin wynosi 233 rb. 37⁴/₅ kop. Z tych sum powstałyby miliony na udoskonalenie więzień.

Reforma więzienna, jak słusznie zaznacza *Tiur. Wiest.*, pozostaje w ścisłym związku ze zmianą systemu kar. Przedewszystkiem należy zmienić system zamknięcia osobnego i ogólnego. Pierwszy dobry tylko dla więźniów krótkoterminowych. Na długoterminowych działa zabójczo, doprowadza do rozstroju psychicznego.

Bardzo ważny projekt reformy podaje organ powyżej cytowany. Reformę tę można postawić na równi, a nawet pod względem łatwiejszego zastosowania w praktyce — wyżej od kary warunkowej. Mianowicie chodzi tu o warunkowe uwolnienie skazańca od kary przed terminem oznaczonym, z mocy wyroku. Byłby to istotnie jeden z najskuteczniejszych środków, zapobiegających ostatecznemu zepsuciu i wytwarzaniu zbrodniarzy zawodowych ze skazańców skutkiem rozpaczliwego położenia, bez żadnej nadziei na przyszłość. Mówią oni: „Gorzej nie będzie!“ Uciekają i popełniają zbrodnie. W takich warunkach zdarza się, że ten, który mimowoli popełnił jedno morderstwo w stronach rodzinnych, a nawet nie popełnił go wcale, uciekając potem z ciężkich robót, rabuje i morduje niezliczone razy. Otóż nadzieja uwolnienia od kary w terminie przyspieszonym, w razie wzorowego sprawowania się na miejscu kary, może istotnie być bardzo ważnym czynnikiem, ochraniającym przestępców od zupełnej zagłady moralnej i wykluczenia na zawsze ze społeczeństwa.

Wogóle w społeczeństwie rosyjskiem i jego prasie spostrzegamy obecnie wielkie zainteresowanie wszelkiego rodzaju ideami, między innemi — ideą przewodnią w sekciarstwie, któremu od lat paru publicyści szczególną uwagę poświęcają. Mniej więcej pół roku temu czytaliśmy w pismach, że sekta duchoborców wychodzi tłumnie z Kaukazu za granicę. Ruch ten nieco wyjaśnił p. Skwarcow, redaktor *Mision. Obozr.* Badał on osobiście sektę powyższą i na zasadzie własnych spostrzeżeń wypowiedział w Petersburgu odczyt. Oto jest część jego osnowy według streszczenia *Swieta*: „Prelegent podał zupełnie nowe szczegóły o występnej propagandzie tołstojowsko-anarchistycznej, szerzonej przez duchoborców. W imieniu Piotra Waryгina, przywódcy — „ubóstwianego Pietruszki“ i pod kierunkiem ks. Chiłkowa oraz innych wyznawców zasad hr. Tołstoja, który utrzymuje blizkie stosunki z agitatorami, duchoborcy stworzyli stowarzyszenie antipaństwowe. Zdaniem p. Skwarcowa, ciężar odpowiedzialności moralnej przed ojczyzną i ciemnemi masami sekciarzy spada na sumienie bohaterów dramatu „duchoborców“ ks. Chiłkowa i p. Czertkowa, a przedewszystkiem na serce i sumienie głośnego i utalentowanego pisarza rosyjskiego, hr. Tołstoja. Dramatem tym zaś jest doprowadzenie duchoborców do ostatecznych granic anarchii i fanatyzmu, do znękania mas bezcelową walką z prawem i władzami, do zupełnego zachwiania dobrobytu materyalnego. Uporczywą agitacyę tołstojowców inteligentnych na rzecz duchoborców prelegent tłomaczy tem, że agitatorzy ci wywołali biedę i nieszczęścia, które spadły na tę sektę. Tołstojowcy obrali ją jako grunt wielce podatny do swych doświadczeń propagatorskich, rozniecili iskrę w żywiole palnym, sprowadzili straszny pożar i zniszczenie, jakiego nie przewidywali wcale. Masa duchoborców, która od stu lat istniała w ciemności, rzuciła się ku światełku anarchii tołstojowskiej. Agitatorzy pielęgnują ruch sekty, jako pierwszy plon plew, przewyższający ich oczekiwania—na gruncie ludowym; jako zorzę przyszłych rezultatów nauki tołstojowskiej, krzewionej śród ludu. Tołstojowców wreszcie zobowiązuje do troski osadzenia gdziekolwiek duchoborców na nowych podstawach życia, samo hipnotyczne uczucie, rodzące potrzebę nieposłuszeństwa władzy i prawu, które oni zaszczepili w umysłach duchoborców, niezdających już sobie sprawy z niczego. Myśl o przeniesieniu się gdziekolwiek na Wschód opanowała chorobliwie umysły duchoborców. Niepodobna już wcale powstrzymać ich od tej emigracyi, bo skrystalizowanym w umyśle celem ich niezłomnym jest: „iść gdzieś w strony nieznane i założyć tam królestwo własne pod przewodnictwem ubóstwianego Pietruszki Warygina.“

P. Skwarcow w swoim odczycie czyni następujące uwagi: „Rząd, po wypróbowaniu różnych sposobów oddziaływania na żywioł pod względem politycznym niepewny i niebezpieczny, nie miał nic innego do zrobienia, jak zgodzić się na emigracyę za granicę. Niech piana spłynie, a w ten sposób rozsądna część sekciarzy wolna będzie od żywiołu niespokojnego i anarchistycznego.“ Obraz położenia materyalnego sekciarzy prelegent tak kreśli: W jesieni duchoborcy przy pomocy ks. Chiłkowa wyprzedali się ze wszystkiego i postanowili wyemigrować na Cypr. Ale władze angielskie zażądały, ażeby każdy z wychodźców złożył po 300 rb. Duchoborcy, doprowadzeni do nędzy ostatecznej w ciągu półrocza ubiegłego, cierpieli strasznie. Wówczas ks. Chiłkow wraz z dwoma sekciarzami rozpoczął zabiegi o przeniesienie ich do Ameryki i z pomocą kwakrów stworzył komitet do zbierania ofiar na koszty przejazdu. W połowie grudnia podobno duchoborcy udali się do Batumu, a stamtąd wyruszyli za ocean. Miał im towarzyszyć syn hr. Tołstoja, dymisyonowany naczelnik ziemski, Sergiusz hr. Tołstoj.

Donioślejsze mają znaczenie pod względem politycznym sprawy Finlandyi, o której teraz rozpisuje się cała prasa rosyjska, z powodu otwarcia sejmu nadzwyczajnego w sprawie zmiany ustawy o służbie wojskowej. Wogóle dzienniki rosyjskie kładą nacisk na reformę, jako na pierwszy krok ścisłego zespolenia Finlandyi z Rosyą. Oto szereg wytycznych, danych sejmowi finlandzkiemu do rozważenia: 1) Wszelkie postanowienia obowiązującej ustawy wojskowej, ogłoszone jako zasadnicze przywileje Finlandyi, powinny być wyłączone z liczby praw zasadniczych. 2) Wszystkie postanowienia, niedotyczące wprost powinności wojskowej, muszą być wyłączone z ustawy. 3) Wszystkie reformy, których wymagają interesy jedności państwowej, powinny być wprowadzone do ustawy. 4) Minister wojny powinien posiadać zupełną władzę w stosunku do wojsk finlandzkich. 5) Do owych wojsk powinien być otwarty dostęp dla oficerów pochodzenia rosyjskiego wraz z możnością nabywa-

nia wszystkich praw obywatelstwa finlandzkiego. 6) Koszty utrzymania wojska powinna ponosić Finlandya.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Smutne rozmyślania na temat przeszłości. — Czesi i my. — Koło polskie i jego stanowisko. — Jak rząd austryacki nakłada podatki. — Kilka uwag dla turystów z Warszawy.

Rada państwa odroczona. Wiadomość ta ani zasmuciła, ani pocie- [illegible] polityków, bo wszyscy wiedzieli doskonale z doświadczenia, czyli na własnej skórze, że w Austryi tyleż był wart parlament, co i konstytucya. Jakkolwiek p. Popowski, poseł do Rady państwa, dowodził pięknie i mądrze w jednem z pism lwowskich, że Austrya coś bardzo dobrego dla nas zrobiła, ani ja, ani nawet to pismo, niestety — które ów hymn pochwalny wydrukowało, a mogę śmiało powiedzieć, że wielu bardzo ludzi nie mogło się ani dopatrzyć, ani doszukać owego dobrodziejstwa austryackiego.

Teraz już możemy nad tymi błędami rozpamiętywać jako nad przeszłością i oby te rozpamiętywania posłużyły nam za naukę na przyszłość. Kardynalnym błędem naszym, a wina jego ciąży wyłącznie na Kole polskiem, było uporczywe popieranie rządu przewrotnego, chwiejnego i bezradnego. Dawaliśmy to poparcie zbyt może po rycersku, bez rękojmi żadnych, licząc na nagrodę w przyszłości. I dostaliśmy figę. Pókiśmy szli bez Czechów, pótyśmy byli górą, a gdyśmy poszli pod komendę czeską, Koło polskie stało się istotnie kołem, ale na młyn czeski. My, cośmy od chwili przyłączenia Galicyi do Austryi walczyli z centralizmem, teraz znaleźliśmy się pod komendą centralizmu czeskiego, a co gorsza — pracowali dla niego. Czechów rozpiera ambicya narodowa, nieproporcyonalnie wielka do ilości i obszaru państwowego, pretensye swoje poczęli łatać historyą, przypomniawszy sobie, że przed dziesięciu wiekami zdobyli parę kraików sąsiednich, ale zapomniawszy, że w tych krajach Czechów nie było. I teraz na tym koniku wielkości jeżdżą, a my Bóg wie po co i na co podkładamy pod ten wóz skrzypiący swoje ramiona. Zupełnie tak, jak gdyby coś nam zależało na tem, ażeby Czesi rej wszędzie wiedli, albo czeski centralizm był lepszy od niemieckiego.

Nie przeczę bynajmniej, że hr. K. Badeni pchnął Austryę, może mimo własnej woli, na drogę słowiańszczenia się, że z tej drogi żadna siła jej nie zepchnie, ale stąd bynajmniej nie wynika, ażebyśmy mieli kosztem własnym wytwarzać potęgę czeską. Wiem, że mię za tę zasadę niejeden świętoszek potępi, mimo to wszystko pozostanie prawdą niezbitą, że narody w pewnej sytuacyi mogą i powinny prowadzić jedynie politykę utylitarną, a nie jakąś sentymentalno-bohaterską. Wiem, że w dobie panowania przyjaźni polsko-czeskiej, kiedy na wszystkich bankietach i zebraniach brzmią słodkie toasty, niedobrze jest odchylać płaszcz przyjaciela i pokazywać czeską maczugę, naszpikowaną kolcami. Entuzyazm nie uznaje prawdy, a my tak jesteśmy łagodni, żeśmy zapomnieli o tem, jak nas Czesi — dla polityki, jak powiadali — niedawno jeszcze okładali w parlamencie i w prasie tą swoją maczugą.

Zdaje się, że prąd potrzeby prowadzenia polityki nie cudzej, lecz własnej w Kole polskiem zaznaczył się ostatnimi czasy. Trudno rzec, jakie odbywały się przemiany w jego łonie, ale z półsłówek w prasie można się domyślać, że rozumna i rozważna większość doskonale oceniła bezpłodność popierania Czechów i spostrzegła groźbę utracenia wszelkiego wpływu na przyszłość, jeżeli tą drogą będziemy iść dalej. Co my dajemy Czechom przez na- [illegible] i znaną, ażeby o tem trzeba było mówić. Pominąwszy stanowisko polityczne, jakie dzięki temu poparciu zyskali w państwie, zdobyli oni przy naszej pomocy podstawę do rozwoju narodowego i możności uregulowania wewnętrznych swoich stosunków. A cóż my zyskaliśmy? Furę grzeczności zdawkowych, a po za tem wtykanie nosa w nasze sprawy i spory domowe, popieranie za plecami polityki hajdamackich zapędów, a na Szlązku „języka słowiańskiego.“ Ta dziwna przyjaźń Leszka i Mieszka tak samo też i zakończy się, jak w bajce. Jeżeli jedna strona bierze wszystko, lecz drugiej nic nie daje, to juści nad rezultatami tego rodzaju przyjaźni zastanowić się warto. Idea zbliżenia się politycznego i plemiennego Słowian, niewątpliwie i dla nas jest sympatyczną, ale z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, ażebyśmy dla tej idei poświęcali własne interesy narodowe i za słodkie słowa z tych samych ust, z których wczoraj jeszcze padały ordzerstwa, sprzedawali przyszłość. Z długowiekowych walk Słowian pomorskich z Niemcami i z sobą, przekonaliśmy się, że najcięższe ciosy padały zawsze z ręki — przyjaciół. Obyśmy się w tem położeniu nie znaleźli. Warto nareszcie sprawę naszego stosunku do Czechów z pola tajemnych narad przenieść na jasność — wyjdzie to na dobre i dla nas i dla nich. Dziś, pomimo niezwykłej ich zręczności w utrzymywaniu przyjaźni z Polakami, w społeczeństwie naszem nie ma do nich ani zaufania, ani wiary. Przeszłości zniszczyć niepodobna. Myślmy nie o ratowaniu kogoś, ale siebie *).

Nieszczęściem naszem jest, że my ciągle cudze sprawy widzimy na tysiąc lat naprzód, a swoich najważniejszych pod nosem nie dostrzegamy. Naszym wiedeńskim panom z parlamentu zdaje się, że ugoda czesko-niemiecka jest czemś niesłychanie dla nas ważnem i od trzech lat kręcą się koło niej. Tak się zapatrzyli w ten punkt, jak gdyby nie byli przedstawicielami Galicyi, lecz Czech. Dla celów bardzo dalekich, nieuchwytnych, a nam po największej części obojętnych zaniedbujemy własne. Jest to zarzut niewątpliwie ciężki, lecz słuszny, z którym działalność Koła polskiego spotyka się u nas.

Rozpacz bierze, gdy się czyta sprawozdania parlamentarne i udział w tej pracy naszych posłów. Cała dyskusya kręci się koło błahych przedmiotów, cała praca skupia się koło interpelacyj osobistych o nadużyciach władzy lub skandalicznych przygodach tego lub owego starosty. To, co powinno być w kraju załatwione przez namiestnika, wysuwa się na czoło w Radzie państwa, a polityka austryacka względem kraju całego nie znajduje ani jednego śmiałego mówcy, któryby z całą znajomością rzeczy wystąpił. Czem się to dzieje? Po części statut Koła zamyka usta, ale w znacznej mierze brak obywatelskiego ducha. Nie drażnić rządu! — stało się hasłem wszystkich politycznych karyerowiczów. Tak więc jedni milczą, bo za to otrzymują okruchy, drudzy — ci, którzy do Koła nie weszli — znarowieni kółkowemi agitacyami, stracili w wirze parlamentarnym resztki zdrowego rozsądku. Można powiedzieć, że szerokie interesy kraju, ekonomiczne, społeczne, narodowe, polityczne, nie mają w Radzie państwa poważnego i odważnego przedstawicielstwa. Umiemy tylko chwalić, potakiwać, pokornie milczeć lub awanturować się. Przyczynę tego biernego zachowania się naszych posłów w Radzie państwa upatruję w bardzo nizkim poziomie ich wykształcenia obywatelskiego, fachowego i ogólnego. Gdy zostanie zaczepiony interes pewnej warstwy, grupy lub nawet gałęzi — łatwo ktoś się znajdzie do głosu; gdy przychodzi sprawa publiczna, powszechna, dotykająca wszystkich — cicho. Ci, którzy doniosłość jej rozumieją, milczą, ażeby się nie narażać; ci, którzy mówić mogą — czują zakneblowane usta, ci, którzy najchętniej głos zabierają — nic nie mają do powiedzenia.

Jedną z największych plag Galicyi jest sprawa podatkowa, a jednak od wielu lat ani jeden głos nie odezwał się w Radzie państwa w tym przedmiocie nawet wówczas, gdy Wolfowie i inni pachołkowie pruskiego germanizmu wykrzykiwali, że rząd Galicyę protoguje finansowo. W czasie kilkodniowego trwania sejmu roku zeszłego, poseł Soleski wygłosił mowę o wyzysku fiskalnym — ale w Radzie państwa nikt o tem nie wspomniał nawet, chociaż była to niewątpliwie chwila bardzo stosowna.

Soleski wziął tylko jedno miasto — Lwów, jedną gałąź podatku — domowo-gruntowego, ale zasady są jednakowe dla wszystkich kategoryj.

A któż to nakłada podatki? Gołowąsi pameze, którzy, już nie mówię o znajomości rzeczy, mogącej im ułatwić wykonanie sprawiedliwości bez krzywdy, nie mają pojęcia o uczciwości publicznej. Gdy z jednej strony rozstrzyga dowolność lub kaprys, z drugiej — można „wyprosić się“ u takich panów od płacenia podatków. A ileż to jest sztuczek „finansowych“ w rodzaju: wo ist der Esel? — na które zawsze jest odpowiedź jednaka: płać. Nie mam tu miejsca, niestety, na przykłady, bo chociaż one mogłyby najlepiej scharakteryzować dobrodziejstwa konstytucyi w Galicyi, ale muszę bodaj parę przytoczyć. Przypuszczam, że termin płacenia pewnej należytości przypada d. 1 lutego: woźny wręcza nakaz 20 lutego, chociaż jest na tyle ostrożnym i wyćwiczonym, że nigdy sam daty nie wypisuje; strona podatkująca, pomimo winy urzędu, płacić musi 5% kary z kosztami, co wynosi około 7%. Zapłacić trzeba, chociażbyś miał ubranie z siebie sprzedać, bo cię zlikwidują, a tobie miły obywatelu austryacki pozostaje droga procesu kilkoletniego i koszt adwokata, przenoszący 20 razy wartość spornej sumy. Rząd tymczasem zarobił na markach. Proszę w dziennikach ogłosić, że ktoś daje lekcye języka chińskiego; powiedzą, że jest to szkoła i wymierzą podatek za kwartał, nawet wówczas, gdy anons ukazał się na tydzień przed końcem kwartału. Na „liście szczegółowej“ — taki tytuł nosi olbrzymi arkusz papieru, na którym każdy lokator musi wypisać najdrobniejsze swoje dochody — wyliczania rozchodów wspaniałomyślnie nie żądają — wyraźnie wydrukowano: „czekać na urzędnika, który przyjdzie po listę.“ Nie radzę wszakże czekać, gdyż po pewnym czasie przyjdzie wezwanie: jeśli do 14 dni lista nie będzie dostar-

---

*) Pozostawiając szan. korespondentowi swobodę krytyki, winniśmy zaznaczyć, że ryczałtowe potępienie sojuszu galicyjskiego z Czechami nie wydaje nam się słusznem. Jest to prawda, że na ten sojusz z przeszłości i teraźniejszości padają cienie, że przyjaźń mącą przykre wspomnienia i rozdzierają zbyt egoistyczne dążenia Czechów, ale też być powinno zadaniem rozumu politycznego, ażeby jednostronnemu egoizmowi w spółce przypiłować rogi i obciąć pazury. Gdyby Czechom postawiono jasno określone i pilnie strzeżone warunki współdziałania, niewątpliwie zastosowaliby się do nich pod groźbą utraty korzystnego sprzymierzeńca. Nie szukając oporu, wciskają swój interes jak najgłębiej. Nie zasada przeto zgody z Czechami jest złą, ale jej uwarunkowanie i przeprowadzenie. Gdyby Koło umiało myśleć jasno i żądać nieztomnie, z galicyjsko-czeskiego związku wynikłby dla obu stron wielki pożytek. Wtedy i rząd austryacki skręciłby ster swojej polityki. *Red.*

czona, strona zostanie ukarana 5 złr. na korzyść skarbu. Dobrze jeszcze, jeżeli wezwanie nie przyjdzie — po terminie.

Jest to malutka cząstka tych plag i udręczeń, które znosić musi u nas strona opodatkowana, bo oprócz egzekucyi, kar, intabulacyi, jeżeli Boże uchowaj kto posiada własność, nigdy nie jesteś pewny, ile ci każą zapłacić. Zdaje się, iż kontrola w dyrekcyi skarbowej nie istnieje wcale. Na stołach paniczów, wyznaczających podatki, leżą stosy arkuszy z litografowanym lub wyciśniętym podpisem jakiegoś kacyka z dyrekcyi finansowej, a na tych arkuszach smarują młodzi panowie, co im się podoba. Najbieglejszy buchalter z trudnością oznaczy dochód z przedsiębiorstwa, ale taki pan, który zna niewiele więcej nad cztery działania arytmetyczne— jemu morze po kolana! Ma gotowy podpis pana radcy, a pod jego skrzydłem opiekuńczem smaruje, co chce i jak chce. Tak bywa w mieście, gdzie jaką taką obronę mieć można od kruków „finansowych,“ ale co się dzieje na wsi i po miasteczkach? Posiadanie własności w Galicyi, jakiejś fabryki lub przedsiębiorstwa jest zmorą i zgryzotą, ale nie przyjemnością i pożytkiem. Zarobić może tylko ten, kto jest większym zdziercą i jeszcze bardziej nieuczciwy, niż dyrekcya finansowa.

Niedawno dr. Władysław Szujski z Krakowa, syn Józefa Szujskiego, ogłosił rodzaj listu otwartego, w którym usprawiedliwiał się, dlaczego wystąpił z dyrekcyi skarbowej. Przypatrzywszy się tej maszynie, przekonał się, jak ona jest wysoce wstrętną, gdyż sposób wymierzania podatków dąży wprost do obdzierania płacących je obywateli. Wszędzie panuje nie sprawiedliwość, lecz swawola. Inspektorowie podatkowi nie pełnią swych obowiązków jak należy, dają opinię nawet wbrew ustawie, aby tylko ściągnąć pewną oznaczoną sumę podatków i mówią, że czynią to na podstawie wskazówek władz wyższych. Obecny ustrój skarbowy sprzeciwia się sumieniu człowieka.

Tak pisze człowiek uczciwy. Jaka szkoda, że ci, którzy przyjeżdżają do Galicyi odetchnąć świeżem powietrzem lub badają rzecz na gruncie, zbierając jakieś wielkie materyały do jakiegoś wielkiego dzieła, tak mało stykają się z tą brudną, smutną i ubogą falą życia codziennego, które nas ku niewiadomej przyszłości unosi. Niewątpliwie, szukamy prawdy wszyscy, ale nie z każdego punktu da się ona oglądać.

Cho.

ZIEMIA OBIECANA.

III.

Dla zdobycia tego rubla, tych wymarzonych i wyśnionych rozpoczęła się praca tak straszna, tak gorączkowa, tak nieludzko nadludzka, że z dziejów Europy mało tylko przykładów jej podobnych można byłoby przytoczyć. Była to praca zwierzęca w pobudkach i jakaś zbydlęcona w środkach. Pracowano całą siłą pary, mięśni, nerwów, mózgu i serca, pracowano dniem i nocą, w święta i dzień powszedni, bez przerwy, bez wytchnienia i wypoczynku. Napięto energię ludzką do najwyższego stopnia i puszczono ją w piekielny, oszałamiający ruch. Był to jakiś ślepy, wściekły i rozbestwiony huragan wysiłku ludzkiego, który z poświstem furyj zmiatał wszelkie tamy, z porykiem dzikich bestyj zrywał wszelkie pęta i więzy. Zdawało się, że wszystkie potęgi ludzkie i nieludzkie, że wszystkie żywioły natury puściły się w tany, w pogoń szaloną za złotem. Pracowano, jakby dla zbawienia już nie własnego tylko i swoich dzieci, lecz świata, ludzkości całej i przyszłych jej pokoleń, za wszystkie czasy. Wraz z piersią ludzką zdawała się ziemia cała jęczeć, jakby jej serce krwią ociekało z litości i współczucia niemego dla tych ofiar, składanych na ołtarzu cielca złotego, nienasyconego, wiecznie głodnego i wiecznie spragnionego. Rozigrane, rozszalałe, rozpętane, w wir potworny pchnięte, nie mogły się nasycić te dzikie namiętności ludzkie.

Tak pracowało pierwsze pokolenie, pierwsi osadnicy, pierwsi pionerowie wyłaniającego się mieszczaństwa *polskiego*, takimi byli pierwsi twórcy przemysłu *krajowego*. Taką była w gruncie rzeczy praca u podstaw przez ludzi, którzy wyręczyli społeczeństwo nasze w odegraniu roli dziejowej — w najgłówniejszym punkcie budzącego się przemysłu u nas.

Łódź rosła. Użyźniona potem, który ją zalewał, zroszona krwią, która z nadludzkiego naprężenia sił obficie ociekała, rosła ona, olbrzymiała i potężniała z roku na rok, z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień. Był to wzrost rownie gwałtowny i niczem nieokiełznany, jak ta praca, która w niej niby wicher, niby orkan żywiołowy, szalała. Jak grzybami po deszczu, pokrywało się miasto gmachami olbrzymimi, potworami-fabrykami, pałacami ciężkimi. Obfite było żniwo, wart trudu wysiłek, godne zachodu wyniki. Wyrosły kolosalne, bajeczne fortuny, jakby w mgnieniu oka, jakby przez noc, jakby za sprawą cudu, który się nagle objawił. Część webrów i szpynorów i tej pstrej galeryi typów ludzkich, które poprzednio przesunąłem przed oczyma czytelnika, zniknęła, a raczej zniknąć pragnęła, bo ślady swego pochodzenia zatrzeć — za cenę wszystkiego — chciała: za cenę pałaców, zbytkiem wspaniałych, w których mieszkać nie umiała, za cenę powozów pięknych, w których siedzieć nie umiała — za cenę brylantów, w których blasku jej prostacze, nieokrzesane i grube postacie jeszcze bardziej się odbijały, za cenę jedwabiów i szat drogich, na tle których jej wygląd i maniery parobcze jeszcze jaskrawiej się zarysowywały. Podpaliwszy mosty za sobą, które się palić nie chciały, przedzierzgnęła się w królów i królików wełnianych, bawełnianych i półwełnianych. W miarę tego, jak złoto strumieniami spływało do spichlerzów tych panów wszechwładnych, piersi ich rozpierała pycha, która z dniem każdym wzbierała, aż urosła do tej wielkości, że na wszystko, co się po za obrębem rubla znajdowało, plunęła.

Nie przestając ani na chwilę pracować, Łódź wpadła w stan takiego upojenia powodzeniem, z takiem rozbestwieniem szatańskiem obchodziła gody swoje z fortuną szczodrobliwą, że w wir ten porwała całe masy, które elektryzowała. Hasło „do milionów!“ szło i rozbrzmiewało wszędzie, przepełniało wszystkie serca, przenikało wszystkie zakątki. Matki dzieci niem do snu kołysały, młodzież w jego imieniu związki małżeńskie zawierała, a starcy, schodząc do grobu, niem synów i córki swoje żegnali. Wszyscy zostali porwani, oślepieni tą wizyą złota. Wszystko się rzuciło na łup. Że tę pogoń karkołomną wielu życiem przypłaciło, że w tym wyścigu niepohamowanym wielu kości pogruchotało — to reszty nie obchodziło. Powodzenie wielu zatruło wszystkich. Zarazek milionowy nikogo nie oszczędził. Jeżeli nawet kogo nie popchnął do spróbowania szczęścia, to go przynajmniej rozmarzył. Mózgi zaczęły gorączkowo, chorobliwie pracować, majaczyć poprostu. Atmosfera przesycała się zarazą moralną najniebezpieczniejszego gatunku. Tylko Kalifornia i Australia taki okres przechodziły. Ukazał się na bruku łódzkim typ, który życie i szczęście wszystkich pokoleń przyszłych sprzedałby na zrobienie majątku osobistego. Był to typ ponury i — powiedzmy szczerze — nawskróś zbrodniczy. Ocierał się on blizko i nieustannie o kryminał, płynąc nerwowo między Scyllą operacyj podejrzanych, ciemnych a Charybdą kodeksu karnego i doszedł w tym sporcie do zdumiewającej wprawy. Zdawało się, że zbrodnia bezkarnie czyhała na ludzi i ich mienie z za węgłów domów narożnych, kartując daleko sięgające i wstrząsające potwornością swoją plany. Do wysokości zasady powszechnej podniesiono zapatrywanie, że każdy człowiek jest złodziejem urodzonym, a jeśli nim nie był lub jeszcze nie jest, to dlatego tylko, że nie miał sposobności kraść. Przekonanie to — *tacito consensu* — weszło, jako idea podstawowa, w fundamenty etyki ogólnie uznawanej. Podpalanie w celach rabunku na towarzystwach ubezpieczeniowych stało się najwyższą racyą stanu polityki dorobkiewiczowstwa, tak dalece, że kpami ostatnimi nazywano jej niezdecydowanych lub wahających się rzeczników. Najdrapieżniejsze instynkty ludzkie, zrzuciwszy z siebie wszelkie szaty wstydu udawanego, wystąpiły z kryjówek ponurych w całej swojej nagości odrażającej. Była to wielka, radosna, tryumfująca uczta egoizmów, które, spuszczone z uwięzi cywilizacyjnej, oddychały całą piersią na miejscach publicznych, pławiąc się z rozkoszą w miazmatach stęchlizny moralnej. Wyszrubowany do potwornych rozmiarów kredyt powołał do życia przedsiębiorstwa krociowe, które swój żywot niepewny tej zgniliźnie zawdzięczały. Przeważna część Łodzi stanęła na trzęsawisku ekonomicznem, po którem, niby na szczudłach losu, manewrowały kolosy na nogach glinianych.

W takiej atmosferze moralnej kształciły się charaktery i ukazywali ludzie, którzy z czasem stanowiska wybitne pozajmowali. Z takiem środowiskiem etycznem Łódź zostaje u nas klasycznem miastem *self-made-menów*, ludzi bez przeszłości majątkowej, przez bruk zrodzonych, których fala powodzenia na wierzch wyrzuciła i — raz postawiwszy na nogi — pchała już dalej, wciąż dalej siłą bezwładności kapitału zorganizowanego. Zaroiło się od tego rodzaju typów. Głuche, ponure często, jaskiniowe poprostu wieści obiegały i obiegają jeszcze o wielu z nich. Ten uprawiał kontrabandę ekspedycyjną, tamtemu w herbie *odwrócono* kopyta koni wyprowadzanych, trzeciemu los przekazał, jako godło rodzinne, but o podeszwie szerokiej, którym zwinnie strącane przez siebie ze stołu bilety bankowe przydeptywał, czwartego „siódemka“ na wielką drogę wyprowadziła itd. W zbyt długi sznur wyciągnęła się galerya tych bohaterów nocy, aby ją można było całą odtworzyć przed czytelnikiem. Łódź ma swoje legendy ciekawe, z których Sascha Schneider mógłby wziąć nejeden tomat wspaniały...

Syta złota, pieniędzy i zwycięztw materyalnych, Łódź zapragnęła tryumfów moralno-społecznych. Rozpierana pychą, karmiona powodzeniem niesłychanem, chciała zaszczytów, tytułów i odznaczeń. Wiedziona swoim instynktem prostaczym, sądziła, że wchodząc na tę drogę, będzie się mogła piąć po drabinie społecznej, aż dojdzie do jej górnych szczebli, na których wysokości zatrą się jej ręce grube, rysy twarzy nieokrzesane, dusze i mózgi proste i często przeszłość, kierowana wreszcie świadomością wszechpotęgi rubla, rzuciła się z całą namiętnością swojej natury, przez kulturę nietkniętej, w wir walki rozkiełznanej o tytuliki, uciekając się w tym celu do wszelkich podstępów i wybiegów. Wszystkie sprężyny sprytu, wyostrzonego robieniem pieniędzy, poruszano, aby zdobyć jakąś nazwę honorową. Podczas tego boju zaciekłego o godności można było nie- [illegible] ny. Pociesznym był naprzykład pewien kandydat niefortunny do wyższych szczebli społecznomiejskich, który w rozpaczliwej pogoni za jakiemś prezesostwem, wpadł na pomysł przekupienia rzesz głosujących... gęsiami pieczonemi, które przed

2 laty na Starem Mieście rozdawał, chociaż tym razem gęsi sprawę niedoszłego „senatora" pokpiły i Rzymu spragnionego nie ocaliły. Stowarzyszenie zaś współpracowników handlowych, jak przystało na istne dziecię handlu i przemysłu, licytacye formalne urządza na swoje dostojeństwa, oddając je więcej ofiarującemu lub obiecującemu. Wyrzekłszy się kierownictwa sprawami własnemi, powierza je tym, którzy poźniej, z sikawką w ręku, gaszą z prawdziwem znawstwem fachowem wszelkie płomyki ruchu samodzielnego.

* * *

Tak powstał, rósł i do rozmiarów dzisiejszych rozwinął się na ciele ekonomicznem kraju potwór przemysłowo-handlowy, organizm nowy, niemający nic wspólnego ze społeczeństwem, wśród którego żyje. Obcy mu swoją gwarą żargonową, którą sobie z mieszaniny kilku języków pokaleczonych ulepił, obcy swojem życiem wewnętrznem, jakie w jego łonie wytrysnęło, obcy swojemi dążeniami, pragnieniami, zadaniami, namiętnościami, obcy nawet wyglądem zewnętrznym, obcy pochodzeniem i brakiem tradycyj. Pomimo swej różnobarwności i różnoplemienności, jest on czemś jednolicie kosmopolitycznem w najprozaiczniejszem tego słowa znaczeniu.

(D. n.).

Maurycy Badior.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Sanatoryum.

Jest to objawem bardzo pocieszającym i wysokiej pochwały godnym, gdy jednostki na stanowiskach wydatnych i wpływowych nie ograniczają swych starań do pomnożenia osobistej sławy i majątku, lecz w obrębie swego zawodu podejmują przedsięwzięcia praktyczne ogólnego znaczenia. Tak postąpił dr. T. Dunin. Naprzód na zebraniu lekarzy, a następnie w prasie wystąpił on z projektem założenia sanatoryum dla suchotników, poparłszy go odpowiednim wywodem i cyframi. „W Warszawie — powiada on — umiera na suchoty rocznie 31 osób z każdych 10,000 żyjących. Na pozór nie wygląda to tak strasznie. Ale idźmy dalej. Tym 31 zmarłym odpowiada 200 żyjących suchotników, czyli że 2% całej ludności żyjącej cierpi na suchoty. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wiek, w którym suchoty zdarzają się najczęściej, to okaże się, że trzecia część wszystkich zgonów wypada na suchoty. W tym okresie już nie 2, ale 7% całej ludności choruje na suchoty. Ogółem w Warszawie umiera rocznie przeszło 1,800 ludzi na suchoty, czemu odpowiada około 13,000 żyjących suchotników; w całem zaś Królestwie Polskiem umiera co rok najmniej 25,000, a żyje 125,000 suchotników. Jeżeli przyjmiemy, że stosunek zamożnych suchotników do ubogich ma się jak 5 : 8, to wypadnie, że w Warszawie znajduje się 8,000 suchotników, którzy nie mają za co się leczyć i bezradnie czekać muszą, aż śmierć skróci ich cierpienia. Gdybyśmy nawet przypuścili, że połowa z nich albo jest tak lekko chora, że nie potrzebuje leczenia, albo też jest w stanie tak rozpaczliwym, że jej już pomódz nie można, to jeszcze i tak będzie 4,000 takich, którzy nadają się do leczenia, gdyby mieli po temu środki. Gdyby znowu z pośród nich ocalić tylko jedną połowę, to mielibyśmy przeszło 2,000 ludzi corocznie ocalonych od niechybnej śmierci. Pomyślmy tylko: 2,000 osób rocznie umiera w Warszawie dla tego jedynie, że nikt się niemi nie zajmuje!"

Wobec dzisiejszego stanu badań i doświadczeń naukowych już nie ulega wątpliwości, że suchoty są chorobą wyleczalną. Przypuśćmy, że Warszawa stworzyłaby sanatoryum na 150 łóżek. Zakłady niemieckie pouczyły nas, że dla zupełnego wyleczenia lub uzdolnienia do pracy suchotnika potrzeba 3—4 miesięcy pobytu w sanatoryum. Tym sposobem warszawskie dałoby pomieszczenie około 600 chorym rocznie. Dalej wykazy owych zakładów przekonywają, że 72% odzyskuje zdolność do pracy, z czego 50% można uważać za zupełnie wyleczonych. Koszt rocznego utrzymania sanatoryum wyniósłby 50,000 rb., dodawszy do tego procent od sumy użytej na budowę około 15,000 rb., wypada, że społeczeństwo rocznie musiałoby dopłacać 40,000 rb. Gdyby tylko połowa chorych odzyskała zdrowie, a każdy z nich po wyleczeniu tylko 5 lat pracował, zarabiając po 300 rb. rocznie, to 300 ludzi zarobiłoby 450,000 rb. rocznie, które wrócą do społeczeństwa w zamian za wydane 40,000 rb.

„Ale cóż znaczą te cyfry wobec ogromu nieszczęścia i łez, którym możnaby w ten sposób zapobiedz? 300 wyleczonych suchotników — to nietylko 300 ludzi powróconych do życia i pracy; to jeszcze 300 rodzin, ocalonych co rok od rozbicia, nieszczęścia i nędzy. A czyż może być co milszego w życiu, jak módz sobie powiedzieć, że swym datkiem przyczyniło się do ocalenia życia ludzkiego i otarcia łez kilku naraz osobom?"

Zarówno te cyfry, jak względy są zbyt ważne i wymowne, ażeby potrzeba było podnosić ich siłę przekonywającą. Dr. D. odwołuje się do ludzi zamożnych. Niestety, ta apelacya jest u nas zawsze zawodną. Bogacze bowiem mają Merany, Riviery, Kairy, Gerbersdorfy, oni nie znają ani złych warunków, ani braku zakładów leczniczych, a instynkt ofiarności społecznej nie rozwinął się w nich prawie wcale. Ogół zaś zbyt jest ubogi, a nadto zajęty tworzeniem instytucyj, ubezpieczających jego byt kulturalny. Mimo to mamy nadzieję, że na ten rozumny i uczciwy głos odezwą się nietylko serca, ale i kieszenie. Kilka tysięcy rubli już zebrali między sobą lekarze."

O miotłę.

P. J. Graż. po raz drugi podnosi w *Wieku* sprawę, która w swojej nazwie brzmi bardzo skromnie, ale w istocie jest bardzo ważną. Chodzi bowiem tylko o miotłę, właściwie zaś o niszczone bezkarnie przez podmiejskich rabusiów zalesia brzozowe. Kupując lub widząc miotły, przywożone w wielkiej liczbie (według p. Gr. Warszawa zużywa ich około miliona sztuk), ani się domyślamy, że cała ta masa pochodzi z kradzieży. Przy obecnej bowiem cenie (4 kop.) właścicielowi gaju brzozowego nie opłaciłoby się obcinać gałęzie, skutkiem czego drzewa niszczeją lub giną; opłaca się to tylko złodziejom, którzy po nocach dokonywają tego rabunku w cudzych lasach i nie ponosząc kosztów materyału, mogą tanio sprzedawać miotły. Autor tej słusznej skargi na tolerowaną a wielce szkodliwą grabież domaga się rozporządzenia, aby „przez wszystkie rogatki miejskie nie puszczano fur z miotłami bez świadectwa, na wzór tych, w jakie zaopatrują się ci, co prowadzą na sprzedaż konia, wołu lub krowę, a z drugiej strony, aby wójci gmin mieli polecenie wydawania świadectw tylko tym, którzy przed nimi udowodnią prawne posiadanie brzozowych gałęzi na wyrób mioteł." Jakkolwiek trudno byłoby oczekiwać od tego środka radykalnej zmiany poprawy stosunków — gdyż wiadomo, jakiem niedbalstwem, a nawet popieraniem nadużyć odznaczają się niektórzy wójci gmin — wpłynąłby on niewątpliwie na ograniczenie złego.

Kossaki.

W Krakowie zmarł Juliusz Kossak, twórca wielu obrazów i rysunków, w których głównymi bohaterami były: koń i szlachcic. Jego konie nie należały do rasy małych, zeschłych i pokurczonych szkap Brandta lub do ogromnych, kościstych — Chełmońskiego, lecz były to piękne, tuczone, z ogromną fantazyą stąpające rumaki. Podobnych też tworzył szlachciców: dorodnych, strojnych, zamaszystych. Cokolwiek o jego pracach powiedziećby można ze stanowiska malarskiego, trzeba mu przyznać wielką miłość dla przeszłości — dla rycerskiej przeszłości. Tę on sobie upodobał i ukochał, w tej widział główny blask narodu, a przez to uczucie, przez ten wybór przedmiotów był artystą polskim.

Podczas gdy o ojcu dochodziły z Krakowa smutne wieści zbliżającego się zgonu, z Berlina przybiegały echa łaski, jaką sobie zjednał syn u cesarza niemieckiego. Wojciech Kossak stał się ulubieńcem Wilhelma II, otrzymał od niego w pałacu pracownię, kąpał się w blasku codziennych jego odwiedzin, karmił się pochwałami, słowem używał do syta wysokiej przyjaźni i protekcyi. W hr. Loś, autor książki: „Z pracowni naszych mistrzów," poświęconej Juliuszowi Kossakowi, powiada o jego synu Wojciechu, że jest to *bon garçon*, miły, dowcipny, ale „żyje dniem dzisiejszym i obcą mu jest praca mózgu." Powtarza ciągle: „Życie jest piękne, żyć jest tak miło!" Wogóle biograf jest zachwycony młodym Kossakiem, dodaje tylko z westchnieniem: „Gdyby ten człowiek był w stanie więcej myśleć!" Miejmy nadzieję, że śród narodu myślicieli nauczy się i tej sztuki.

Nic się nie zmieniło.

Jakiś zabiegliwy duch, który dziennikarzom warszawskim przesyła jednobrzmiące doniesienia o wypadkach miejskich, ogłosił, że nowa spółka przyjęła tramwaje od Towarzystwa belgijskiego, znalazłszy całą administracyę w najwyższym porządku. Skutkiem tego niczego w niej nie zmieniła, cały skład osobisty przedsiębiorstwa pozostał, z wyjątkiem prezesa. Istotnie, przejście tramwajów w nowe posiadanie odbyło się tak niepostrzeżenie, że nietylko publiczność, ale nawet niższa służba wcale go nie zauważyła i dowiedziała się dopiero z gazet. Bo i z czegóż mogła się domyśleć? Jak przedtem, tak i teraz jest ubrana, sprzedaje bilety 5 i 7-kopiejkowe, zatrzymuje tramwaje dla dam na dziesięć kroków przed przystankiem z obawy skargi, a nadewszystko jeździ przez 16 godzin dziennie bez wyłączenia świąt. Przewodnik tramwajów na moście, który przez cztery lata nie był w Warszawie, choć na nią patrzy ze Zjazdu od rana do północy, mniemał zapewne, że tak ważna uroczystość, jak zmiana dzierżawców, odbije się w jego życiu przynajmniej wolną godziną dla zajrzenia na Krakowskie Przedmieście, ale biedak omylił się. W dalszym ciągu wolno mu sto kilkadziesiąt razy dziennie przejechać z jednego na drugi brzeg Wisły. Nic się nie zmieniło.

Budżet szpitalika.

Kuryer Warszawski podał główne cyfry obrotu pieniężnego w gospodarce szpitalika dla dzieci. Zakład ten posiada 120 łóżek stałych i 33 zapasowe. Średnia liczba chorych dziennie była 101 — ogólna 1,746. Udzielono pomocy lekarskiej w ambulatoryach 19,111. Żywność jednego dziecka kosztowała dziennie 14,38 kop., całkowity jednodniowy koszt utrzymania — 84 kop., roczny koszt jednego łóżka 203 rb. 20 kop. Dochód w ciągu roku minionego wynosił 34,922 rb., rozchód — 31,090, pozostała więc oszczędność 3,831 rb. Ta tak znaczna oszczędność w zestawieniu z przeciętną cyfrą dzienną chorych (101) wobec większej ilości łóżek stałych (120) jest dla nas niepo-

jętą. Miałżeby szpitalik dla dzieci, który dotąd uważaliśmy za wystarczający zaledwie w drobnej części potrzebom ludności warszawskiej, przewyższać te potrzeby? Jest to niemożliwem, a jednak cyfry wypowiadają taki wniosek. Widocznie w notatce statystycznej czegoś niedoniesiono, co usuwa sprzeczność.

Nowe pisma.

Przybyły nam dwa nowe pisma: Jedno p. t. *Meloman*, którego zadaniem będzie umieszczanie transkrypcyj oparowych, urywków salonowych, utworów do śpiewu, utworów na 4 ręce i kompozycyj tanecznych. Drugie p. t. *Kolarz, Wioślarz i Łyżwiarz*, które już w samym tytule zaznacza swój program. Ponieważ te dwa organy obok istniejących dwu innych: *Sportu* oraz *Jeźdźca i Myśliwego*, nie wyczerpują i nie specyalizują dostatecznie całej najrozleglejszej i najpłodniejszej dziedziny naszego życia — sportu, więc radzimy filarom tego świata założyć jeszcze następujące pisma: *Atleta, Totalizator, Winciarz, Tancerz, Piechur* i *Szczudlarz*. Tym sposobem rozwinie się nasze piśmiennictwo i czytelnictwo, wypłyną nowe talenty, które z czasem powiększą szeregi ludzi zasłużonych społeczeństwu.

Pracownicy cukierniczy.

Od pracowników cukierniczych otrzymaliśmy list następującej treści:

„Z powodu artykułu *Prawdy*, umieszczonego w nr. 27 r. z., p. t. „W obronie pracowników cukierniczych." który powtórzyły inne pisma, pp. przedsiębiorcy postanowili się zająć losem naszym i na ogólnem zebraniu, odbytem 14 października r. z., polecili wybrać sześciu subjektów, ażeby ci wyłuszczyli swoje żądania na piśmie. Jakoż sformułowano te żądania i porozsyłano je do właścicieli cukierni dla wydania opinii i ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyi. Zebranie odbyło się d. 9 grudnia, na którem kategorycznie odrzucono nasze wymagania. Na memoryale naszym popisano takie uwagi: „Kłamstwo!" „Kwestya nie podlega dyskusyi" i tym podobne brednie, aż nadto dobrze świadczące, jak silnie obstoją panowie zarobkodawcy przy dawnym systemie. I nic dziwnego, bo jest on bardzo wygodny dla nich, gdyż pozwala im na wszystko, a pracownikom na nic. Należałoby jeszcze raz przeczytać nasze żądania i *pomyśleć po ludzku*, czy w nich jest rzeczywiście coś wygórowanego."

Zobaczmyż, jakie są te żądania, dołączone do listu powyższego: Stałe uregulowanie godzin pracy, a mianowicie od 7-ej rano do 6-ej wieczorem i jedna godzina na obiad; godziny zaś po za normą liczyć po 20 kop., bez różnicy zajęć, czy to piekarnia, czy cukiernia, czy pensya mniejsza lub większa. Należy roztrząsnąć tę kwestyę, dlaczego subjekt przybyły z prowincyi korzysta z tych samych praw, co cechowy. (W żadnym fachu tego niema). Należy pryncypałów cechowych zobowiązać, ażeby subjektów bez kwalifikacyj cechowych do zajęć nie przyjmowali. „Jest to dla nas krzywda — mówią pracownicy — wszak my ponosimy ciężary, włożone na nas przez zgromadzenie." Ponieważ jest przyjęte w tym fachu utrzymanie pracowników z mieszkaniem i „życiem," a więc życie powinno być dostateczne i porządne, a mieszkanie takie, ażeby nie potrzeba było ukrywać go przed rewizyą policyjną. Subjekci sklepowi żądają, ażeby „wychodnia" była raz na tydzień, obejmowała cały dzień od rana i przypadała na przemian to w święto, to w dzień powszedni. Jeżeli subjekt przebędzie w jednym zakładzie dwa lata, należą mu się wakacye miesięczne, a przynajmniej 15-dniowe, bez potrącenia płacy. W pierwsze dni Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy nie należy zatrzymywać subjektów przy pracy. Trzeba pomyśleć o zabezpieczeniu losu pracowników w razie choroby, podeszłego wieku, kalectwa, a więc i niezdolności do pracy. Następnie konieczne jest zabezpieczenie lub jakaś pomoc dla wdów i sierot po pracownikach. Pożądane byłoby opracowanie ustawy kasy pożyczkowej i stworzenie jej fundamentów materyalnych. Następnie subjekci się skarżą, że praca niedzielna i świąteczna jest bardzo dowolnie określana. Istnieje termin: „do obiadu." Otóż jedni właściciele cukierni dają obiad o 12-ej, inni o 4-ej, a nawet i później. Subjekci żądają więc, ażeby w te dni praca trwała do 9-ej rano, z wyjątkiem nawału zamówień. Wtedy pracy oczywiście przerwać nie można, ale musi ona być wynagradzana oddzielną dopłatą.

Żądania powyższe, jak widzimy, dosyć są skromne i zasługują na zupełne uwzględnienie. Ponieważ przedsiębiorcy nie chcą poczynić żadnych ustępstw, więc pracownikom pozostaje jedna droga: uciec się pod skrzydła prawodawstwa, które zaczyna już obejmować coraz szersze warstwy pracujące; a wtedy panowie przedsiębiorcy chyba gorzej wyjdą, bo prawodawstwo, nie wdając się w sentymenty i żadne względy, zażąda większych ulg dla pracowników cukierniczych, niż oni dziś sami żądają.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

LECHICI.

II.

Podobnież falsyfikat Hanki dowodzi tylko, jakie zapatrywania i teorye historyczno-społeczne popłacały w jego czasie. Małecki myli się, jeżeli sądzi, że ten dokument był źródłem lechityzmu; przeciwnie lechityzm był źródłem odnośnego ustępu w robocie Hanki! Bo ten chcąc upozorować starodawność poematu, zastosował się ściśle do panujących wtedy o pierwotnym stanie społeczeństwa zapatrywań. Gdyby bowiem Hanka był nam przedstawił np. jakiegoś ministra, przemawiającego w ten sposób: „Panowie, równość wszystkich obywateli przed prawem jest podstawą naszego społeczeństwa" — to zaraz poznalibyśmy, że to falsyfikat! Ale ponieważ tak rzecz przedstawił, jak według opinii uczonych swego czasu to stosunki pierwotne być miały, udało mu się na jakiś czas wprowadzić w błąd łatwowiernych. Nie on więc stworzył lechityzm, ale lechityzm stworzył odnośny ustęp jego poematu. Wykrycie zaś fałszerstwa nie może mieć najmniejszego wpływu na istniejący przed Hanką już od wieków „lechityzm," tj. ów „dualizm" narodowy szlachty i chłopów.

Nie mniej także wszelkie dziwactwa i śmieszności etymologiczne, które Małecki tak znakomicie u innych wykazuje, nie mają związku z *rzeczą* samą, która od wieków istnieje. Fałszywe wywody etymologiczne wyrazów Lech i szlachta nie zmieniają faktu, że od wieków szlachta istniała i chłopów trzymała w zawisłości i poddaństwie. Kwestya tylko, czy taki stosunek wyrobił się przez powolną „ewolucyę," czy był dziełem „katastrofy." Tej zagadki nie rozwiąże nigdy wykaz, że tylu a tylu historyków i etymologów naszych popisalo o tem wierutne bajki i dziwaczne wywody. Jeżeli ona nie może być rozstrzygniętą przez równoczesne katastrofie świadectwa dziejowe, to może tylko być wyjaśnioną przez badanie stanu społecznego późniejszego, wyciąganie z niego wniosków co do przyczyn, jakie go mogły sprowadzić i przez porównanie tego stanu ze stosunkami podobnymi w innych krajach np. w Niemczech, Francyi, Węgrzech i w Anglii, gdzie takie same stosunki były rezultatem najazdu obcego szczepu. Ale fałszywe wywodzenie „Lechów" czy to od Lygiów, czy od potomstwa Samona, czy od bałkańskich jakichś Lynchitów nigdy nie obali faktu „lechityzmu" w Polsce, czyli, jak to Małecki sam nazywa — „dualizmu" narodowego, (który w istocie nie był dualizmem, ale dodawszy do tego Niemców mieszczan, Żydów, Ormian itd. był raczej „pluralizmem" jak zawsze i wszędzie we wszystkich ustrojach politycznych na całym świecie).

Pomimo tych uchybień w logicznej konstrukcyi, książka Małeckiego jest bardzo pouczająca. Bo wykazuje ona, że dziejopisarstwo nasze do najnowszych czasów a po części i dziś jeszcze leży w pieluchach. Jako przyczyny zaś występują wyraźnie: brak krytycyzmu, skłonność do nienaukowego, dziwacznego etymologizowania i tendencyjność niby to patryotyczna. Na szczęście braki i wady w ostatnich trzech dziesięcioleciach zaczynają ustępować: a dawniejszy okres dziejopisarstwa może się już skończył. We Lwowie mamy cały zastęp historyków krytycznych, którzy tworzą szkołę, a w Krakowie Piekosiński stanowi przełom ważny, bo chociaż po części jeszcze niefortunnie według dawnej metody etymologizuje („Polacy od Po-Lachy itp.) każe najezdnikom Polski być pobratymcami Polaków, ale z drugiej strony rozwija niezwykły zmysł krytyczny w tłomaczeniu dyplomatów i pomników historycznych. Nie wyliczam wielu innych nowszych pracujących nad dziejami polskimi w Warszawie i Krakowie.

Ale czy Małecki, który tak znakomicie wykazał słabostki i śmieszności dawniejszych historyków, sam stanął na wyższem stanowisku i czy pozbył się swych wad, które poprzednikom swoim tak zręcznie powytykał? Nie widzę tego, przynajmniej w jego „Lechitach."

Wyśmiewa on poprzedników swoich, że nieudolnie etymologizują i dziwacznymi wywodami lingwistycznymi popierają swoje teorye: ale sam chce w nas wmówić, że nazwa Lech i Lach pochodzą ze serbskiego Lednianin, co ma znaczyć Polak (?) Ten wywód etymologiczny nie jest ani o włos lepszy od wszystkich, z których autor słusznie się naśmiewa *).

Co zaś do tendencyjności, to oczywiście Małecki stoi na takiem samem stanowisku, jak poczciwy Czech Hanka. Bo i ten nie popełnił przecież „fałszerstwa" w celu jakiegoś brudnego zysku, lecz z patryotyzmu. Chciał, aby naród jego mógł się także poszczycić jakimś poematem narodowym. Jeżeli zaś Małecki wobec odwiecznego faktu „dualizmu narodowego" dziwacznemi kombinacyami i nielogiczną argumentacyą usiłuje ratować „jednoplemienność narodową," czyni to również w celu patryotycznym. Zdaje mu się bowiem, że ta prawda historyczna może mieć zły wpływ na solidarność narodową. Jest on pod tym względem tak krótkowidzącym, jak Czech Hanka, który myślał, że fikcya historyczna zdoła się utrzymać jako pomnik. Mniemanie takie jest mylne. W rozwoju dziejów zmyślenia i fałsze przepadają, gdyż ostatecznie zawsze prawda wychodzi na jaw. Otumanił Hanka jedną, dwie generacye — trzecia na mistyfikacyi się poznała. Choćby stu Małeckich dowodziło jednoplemienności narodu polskiego, to ta nie ostoi się wobec faktu odwiecznego „dualizmu," który zresztą nie jest wypadkiem dziejów polskich, ale socyologicznem zjawiskiem ogól-

*) Rozpytywałem się licznych słuchaczów moich Serbów, jak się u nich nazywają Polacy. Jednogłośnie wszyscy odpowiedzieli mi, że „Poljacy." Pytałem się, czy nie nazywają ich także „Lędnianami"? Żaden z nich o podobnem nazwaniu Polaków nie nigdy ani słyszał, ani czytał.

no-państwowem. Uwierzymy Małeckiemu w jednoplemienność narodu polskiego, jeżeli nam w dziejach i w dzisiejszym świecie politycznym pokaże bodaj *jedno państwo*, które powstało wśród jednoplemiennego narodu! Jeżeli tego nam nie pokaże (a takiego państwa nigdy i nigdzie nie było!), to mu nie uwierzymy, że Polska była białym krukiem na świecie. Co do tendencyjności zatem należy Małecki do tego całego szeregu dziejopisarzów naszych, zacząwszy od Baldwina Gallusa, Kadłubka i Długosza, a skończywszy na wielu najnowszych, którzy wszyscy pisali historyę gwoli pewnych założeń, czy to panegirycznych, czy kościelnych, czy republikańskich, czy monarchistycznych, czy—stańczykowskich.

W końcu i Małeckiemu musimy zarzucić brak krytycyzmu: bo trzeba wysokiego stopnia tego braku, aby nie widzieć, że ta myśl lechityzmu nie z książek do życia, ale z życia, ze świata rzeczywistego przedarła się do książek i do literatury. Małecki szuka źródła lechityzmu w starych szpargałach: a tu źródło tej teoryi od wieków tryskało i dzisiaj jeszcze tryska w żywym narodzie.

Szczytu zaś bezkrytyczności dosięga Małecki, chcąc nam dać do zrozumienia, że „teorye lechistyczne“ sprowadziły „bryję 1846 r.“ w Galicyi (str. 187). Ta konkluzya godnem jest zakończeniem całego łańcucha nielogicznych argumentów. Kto smutne wypadki 1846 r. wywodzi z teoryj lechistycznych, nie zaś z ucisku pańszczyźnianego, ten chyba krytycznym historykiem nie jest. Bo bunty chłopskie zawsze i wszędzie z tych samych przyczyn wynikają: znały je Niemcy w XVI w. i później, choć bez teoryj lechistycznych. A w „Głosie wolnym“ Leszczyński wieszczym duchem przepowiada takie katastrofy nie na ten wypadek, „jeżeli będziecie głosili teorye lechistyczne,“ ale jako konieczne następstwo ucisku ludu.“ „Mało na tem, że chłopem jak bydlęciem pracujemy, ale co większa i niechrześciańska, że często za psa albo szkapę chłopa poddanego przedajemy .. uchowaj Boże *hunc casum*, żeby kto *de absoluto dominio* zamyślał, czy mógłby zażyć lepszego sposobu jako obiecując privilegia wolności chłopom naszym? Pytam, się czyliby ich ten powab nie pobudził do generalnego buntu?...“ *) Chcieć zatem dzisiaj zwalać winę za „bryję 1846 roku“ na „teorye lechistyczne“ a tem samem na tych wszystkich, którzy je głosili, to już jest trochę więcej, niż brak logiki, to już jest niesprawiedliwie. A możnaby w takim sztucznem i wymuszonem wynajdywaniu związku przyczynowego, gdzie go nie ma, dopatrzeć się nawet jeszcze coś gorszego, o co prof. Małeckiego nie chcemy tutaj posądzać; możnaby w tem dopatrzeć się jakiejś moralnej presyi na historyków żyjących, starszych i młodszych, którym prof. M. wskazuje „bryję 1846...“ jako owoc „teoryj lechistycznych,“ a tem samem zdaje się im mówić: Wy, którzy wyznajecie i głosicie teorye „dualizmu narodowego,“ gotujecie nam znowu jakąś bryję“ à la rok 1846! Powtarzam, choć nie posądzam szanownego profesora o to, że chciał tak powiedzieć, ale ze słów jego niejeden łatwo mógłby to wyczytać. I dlatego sądzę, że należy taką apostrofę, która choć niezamierzona, leży w słowach, napiętnować jako niesłuszną i nierozsądną. Bo obowiązkiem wszelkiej nauki jest wyznawanie i głoszenie prawdy, wszelkie zaś parawany stawiane niby to z ostrożności przed prawdami naukowemi nie mają najmniejszego sensu. Najprzód dlatego, że takie parawany zwykle są przezroczyste, a powtóre, że lada powiew je obala. Faktów historycznych nie można zatuszować, ani zaparawanić. Taka polityka jest krótkowidząca. Prawdzie historycznej trzeba mieć odwagę zajrzeć w oczy. Za przeszłość historyczną, za rozwój dziejowy, za odwieczny proces społeczny, który wszędzie i zawsze rozegrał się według tych samych praw socyologicznych, nikt dzisiaj nie jest odpowiedzialny *).

Ludwik Gumplowicz.

*) Głos wolny. Wydanie Turowskiego, Kraków, 858. str. 102, 103.

*) W numerze poprzednim, w art. „Lechici,“ str. 69, szp. 1. w. 18 od góry, przez pomyłkę figuruje także prof. *Balzer* jako zwolennik teoryi najazdu i lechityzmu: jest on, jak wiadomo, przeciwnikiem tej teoryi. Na str. 69, szp. 1, w. 11 od góry zamiast „mi,“ czytaj „nie“: w. 25 od góry: zam. „aby,“ czytaj „oby.“

NOWE OGNISKA CYWILIZACYI.

(AUSTRALAZYA).

Australazya, w skład której wchodzą lądy N. Holandyi, Tasmanii i N. Zelandyi, przedstawia niewątpliwie w chwili obecnej, co do zwyczajów życia społecznego, oraz nurtujących tam prądów, jedną z najciekawszych okolic obszaru cywilizowanego, zamieszkałego przez rasę białą. Jest ona od lat paru przedmiotem wielu prac publicystycznych i nawet dzieł większego rozmiaru. Jedne z pośród nich unoszą się nad istniejącemi tam w antypodach urządzeniami; inne nie posiadają słów potępienia, zwłaszcza po latach 1891 i 1892, kiedy gwałtowne przesilenie finansowe srożyło się na lądzie N. Holandyi i zakończyło się utratą znacznych kapitałów, pożyczonych koloniom australskim przez rentyerów naszej części świata. Ale wszyscy jednogłośnie przyznają, że Australazya jest w swoim rodzaju bardzo ciekawą pracownią nowych form i nowych wzorów życia społecznego.

Niezaprzeczenie, kolonie australazyatyckie pod wielu względami przodują naszej części świata i nawet kulturze Stanów Zjednoczonych.

Na całym globie niema takiego drugiego zakątka, w którym procent umiejących czytać i pisać byłby większym, liczba listów i telegramów lub dokonywanych sprawunków, przypadająca na jednego mieszkańca, znaczniejszą. Poziom życia, jeśli mamy wierzyć cyfrom statystycznym, pokazującym spożycie mięsa, cukru i innych wiktuałów, znajduje się na takiej wysokości, jakiej nie odnajdziemy w żadnym innym punkcie ziemi: pojedyncza osoba przeciętnie spożywa tam w ciągu roku 276 funtów mięsa, wówczas gdy w stanach Zjednoczonych tylko 150, w Anglii zaś 109, we Francyi zaledwie 77; natomiast mniej chleba, kartofli i innych podobnych produktów, aniżeli we wszystkich wymienionych państwach. Przy większej taniości środków spożywczych, kwota, wydawana przez pojedynczego obywatela, jest znaczniejszą, wynosi bowiem 1,175 fr. rocznie, tymczasem wydatki mieszkańca Stanów Zjednoczonych roczne nie przewyższają sumy 820 fr., Anglika 795, Niemca 505, Włocha 290! Z pośród tej sumy, wydawanej przez obywateli Australazyi, przypada niespełna trzecia część na pożywienie, siódma na ubranie, ósma na mieszkanie, wreszcie pozostaje olbrzymi procent, bo 40% całego dochodu, na najrozmaitsze rozchody i rozrywki, niestanowiące koniecznej potrzeby. Dodajmy, że podana cyfra przeciętna nie kryje przepaści społecznych, ale przedstawia wynik zamożności względnie dość równomiernie rozdzielonej pomiędzy mieszkańcami, równomierniej, niż w jakimkolwiek innem ognisku cywilizacyi białej. Skutki tego uwydatniają się i w najmniejszych rozmiarach śmiertelności: żadna inna okolica cywilizowana nie może się poszczycić takim nizkim poziomem wypadków śmierci.

I w zakresie stosunków społecznych spotykamy w Australazyi wzory najbardziej posunięte wśród świata cywilizowanego.

Nigdzie dzień roboczy nie posiada takiej krótkości, i nigdzie praca fizyczna nie otrzymuje takiego wynagrodzenia. Podatki opierają się na zasadzie postępowej i obciążają przedewszystkiem warstwy zamożne. Pierre Leroy-Beaulieu, *) syn znanego ekonomisty francuskiego, który świeżo wydał książkę o „Nowych społeczeństwach anglosaskich,“ zaznacza, iż w N. Zelandyi, na 90,000 właścicieli, jedynie 12,000 opłaca podatek gruntowy, bo w tej ostatniej dopiero majątki posiadające większą wartość, niż 12,500 fr., zaczynają uiszczać odpowiednie daniny. Prócz podatku od dochodu istnieje jeszcze spadkowy, oparty także na zasadzie postępowej, i sprzedaż gruntów dostarcza znacznej części funduszów, potrzebnych na pokrycie budżetu państwowego. Prawa kobiety polityczne w niektórych koloniach Australazyi niczem nie różnią się od praw mężczyzn, o ile chodzi o stronę wyborczą: W r. 1893 w N. Zelandyi, w r. 1895 w Australii południowej otrzymały one zupełne prawo wyborcze. Wyższe stanowisko polityczne kobiet oraz samodzielność ich ekonomiczna odbiły się i na stosunku ich do mężczyzn, mianowicie na coraz podwyższającym się wieku panien, wstępujących w związki małżeńskie. „Zatrudniam — opowiada pewien przedsiębiorca nowo-zelandzki wspomnianemu przez nas pisarzowi francuskiemu — osiem dziewcząt w wieku lat 20–25, zarabiają one po trzydzieści franków tygodniowo; żadna z nich nie ma narzeczonego. I po co mają się spieszyć? Żyją dostatnio i są najzupełniej niezależne.“ Z późnym ożenkiem idzie w parze stosunkowo nieznaczna liczba potomków: mężatki pragną posiadać dzieci, ale unikają nadmiaru tej pociechy, pozbawiającej kobietę wszelkich innych uciech życia i niszczącej jej indywidualności.

Niewątpliwie Australazya swoimi stosunkami wyprzedziła Stany Zjednoczone. Oba te społeczeństwa, chociaż rozwinęły się z tego samego pnia anglo saskiego, przedstawiają tyle różnic w swoim charakterze, iż mimowoli musimy zadać sobie pytanie, jakim sposobem do tego doszło. Rzecz znajduje wyjaśnienie w różnej naturze żywiołów, które przyczyniły się głównie do dania początku społeczeństwu amerykańskiemu i australazyatyckiemu. W Ameryce północnej wychodźcy wiejscy stworzyli pierwsze pierwiastki kultury, z których dopiero rozwój późniejszy wyzwolił Stany Zjednoczone. Osada rolnika była tam przez długie wieki zasadniczą formą bytu, miasto zaś tylko podrzędnym dodatkiem, który zaledwie w ostatnich czasach pozyskał większą doniosłość w społeczeństwie. Tymczasem koleje rozwoju w Australazyi były zgoła odmienne. Stała się ona przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie przytułkiem żywiołów miejskich, które zaczęły do niej napływać bardzo silnie po r. 1851, dacie odkrycia żył złotodajnych. Wśród przybyszów znaczny procent stanowili czartyści, którzy w tym czasie zaczęli masowo opuszczać kraj ojczysty i szukać lepszego jutra za morzem. A jakkolwiek, pomijając wywóz złota, dwie trzecie wartości wywożonych stamtąd produktów stanowią płody wiejskie, mianowicie wełna i mięso, to przecież kolonie australazyatyckie pozostały społeczeństwem nawskróś miejskiem — bardziej miejskiem, aniżeli gdziekolwiek indziej. Zaludnienie wszystkich kolonij angielskich, położonych w piątej części świata, wynosi 3,800,000 mieszkańców. Z tej liczby na miasta przypada przeciętnie 44,7%; cyfra ta przecież w niektórych dzielnicach

*) *Les nouvelles Sociétés Anglo-Saxones.* Australie, Nouvelle Zelande. Afrique Australe. Paryż u Colin'a.

jest większa, bo np. w Wiktoryi dochodzi do 54%, w Australii południowej do 48%. Dodajmy, iż ludność miejska jestześrodkowana niemal tylko w paru miastach, stolica Wiktoryi zawiera aż 43% wszystkich mieszkańców kolonij, stolica Australii południowej 41,5%. Gdybyśmy wzięli trzy stolice N. Holandyi, a mianowicie Sydney, Melbourne i Adelajdę, oraz stolicę Tasmanii, Brisbane, to cztery te miasta w murach swoich dały schronienie 1,100,000 głów, tj. więcej, niż jednej czwartej całego zaludnienia Australazyi! „Wielkie źródła bogactwa kraju spoczywają w roli, ale przybysze pochodzą z miasta i pozostali w mieście. Z tej przyczyny, z tego braku równowagi społecznej pochodzą wszystkie wady organizmu społecznego Australii“ — pisze Leroy-Beaulieu, mający na myśli radykalizm zamorskich mężów stanu. „Państwo od samego początku posiadało olbrzymie wpływy, ponieważ w jego rozporządzeniu znajdowały się grunta. Sprzedaż ziemi dostarczała mu znacznych funduszów. Miało ono więc sumy bardzo wielkie, wówczas kiedy kapitały osób prywatnych były albo nieznaczne, albo niepewne. Musiało więc wziąć na siebie wielkie roboty publiczne, zwłaszcza zaś budowę kolei. Tłumy przyzwyczaiły się spoglądać na państwo, jako na opiekuna i na *relief works* (tj. na zajęcia dla znajdujących się bez zarobku), jako istotne zadanie rządu. A ponieważ zbudowało koleje, czemu nie ma wziąć na siebie i innych przedsiębiorstw, np. kopalni? Logika demokratyczna pragnie dzisiaj z państwa australazyatyckiego zrobić przedsiębiorcę powszechnego.“

Niepodobna nam poddawać rozbiorowi całości owych stosunków. Poprzestaniemy więc na próbach, dokonanych tam w czasach ostatnich w zakresie własności ziemskiej.

Początek dała N. Zelandya w r. 1892, przyjmując zasadę, iż ziemia powinna należeć do państwa, rolnik zaś — być jedynie stałym dzierżawcą. Zaprzestano więc sprzedaży ziemi i ograniczono się do zawierania umów dzierżawnych, wypuszczających kawałek ziemi na 999 lat, tj. faktycznie na wieczność. W praktyce wszystko pozostało po dawnemu, lecz zasada prawna stosunku państwa do gruntów uległa zmianie. Taki nabywca nie uiszcza wartości ziemi, tylko płaci skarbowi dzierżawę w wysokości 4% od jej szacunku. Istnieje jeszcze i inna forma dzierżawy, 25-letnia z czynszem rocznym, wynoszącym 5% wartości. Wielkość takich wydzierżawianych gruntów jest oznaczona przez prawo, jako też warunki jej otrzymania, polegające na zobowiązaniu się dokonania ulepszeń w pewnym terminie. Zresztą skarb sprzedaje na zupełną własność ziemię, ale tylko olbrzymie kawały terytoryum. W dwa lata po uchwaleniu powyższej zasady sejm nowozelandzki poszedł jeszcze dalej, bo przeprowadził prawo, na mocy którego skarb otrzymał możność wywłaszczania posiadaczów majątków ziemskich, przewyższających pewne granice. Jeśli taki właściciel nie chce przystać na cenę, ofiarowaną przez rząd, wówczas sprawę rozstrzyga sąd specyalny, według otaksowania znawców.

Za wzorem N. Zelandyi poszła Australia południowa w r. 1895. Państwo wydzierżawia kawałek ziemi, nieprzewyższający swoimi rozmiarami pewnej normy, na lat pięć pod warunkiem uiszczania opłaty w stosunku 1% od oszacowanej wartości. Po pięciu latach dzierżawca może zamienić kontrakt na wieczysty, uiszczając naówczas dzierżawę w wysokości 2%. Nadto taki dzierżawca jest zobowiązany do stałego zamieszkiwania na trzymanym kawałku ziemi.

N. Zelandya dała początek jeszcze donioślejszej próbie, która zdaje się nie została uwieńczona powodzeniem, a która naszem zdaniem nawet nie mogła doczekać się rezultatu dodatniego. Są to wysiłki w kierunku stworzenia wsi kooperacyjnych, tak zwanych *village settlements*.

Na podstawie prawa z r. 1893 w Australii południowej takie stowarzyszenie współdzielcze wiejskie powinno zawierać co najmniej 20 osób, na głowę przypada co najwyżej 64 hektary, nadto rząd jest uprawniony do wydania zasiłków pieniężnych w ilości nawet 50 funtów sterlingów na osobę. Po latach trzech istnienia spółka zaczyna skarbowi zwracać otrzymaną pożyczkę z dodaniem 5% od wziętego funduszu, cały dług musi być umorzony po latach dziesięciu od chwili pierwszej spłaty. Na czele spółki znajduje się zarząd, wybrany przez uczestników, spory wszelkie są załatwiane za pośrednictwem sądu polubownego, nikt z pośród zjednoczonych nie może posiadać interesu odrębnego od reszty z wyjątkiem kawałka ziemi, wyznaczonego przez zarząd. Ten ostatni może przyjmować nowych członków i wydalać należących, którzy zresztą mogą apelować od jego rozporządzeń do ogólnego zgromadzenia spółki. Zarząd, wybrany na rok czasu, pośredniczy pomiędzy rządem a spółką, kieruje pracami w polu, budową domów i wszelką produkcyą, która powstać może w osadzie, kupnem i sprzedażą przedmiotów, potrzebnych spółce, wyznacza trwanie robót i kto ma je spełniać; zarządza składami, słowem spełnia wszelkie czynności władzy ekonomicznej i administracyjnej. Każda rodzina prowadzi życie zupełnie samodzielne, otrzymując co piątek od zarządu bony, za które pobiera wiktuały i inne przedmioty w magazynie spółkowym. Każdy z członków dostaje część jednakową bonów rocznych.

Takich spółek w pierwszym roku powstało trzynaście. Zdaje się, poszły nieświetnie. Niektóre liczą po stu członków czynnych. O ile to niepowodzenie jest stałe, trudno orzec wobec tego, iż stowarzyszenia te istnieją 15—18 miesięcy, przynajmniej dane nasze nie sięgają dalej. Spółki winny były usunąć z miast nadmiar ludności i przenieść ją na wieś. Powiązali się ludzie, którzy nigdy z rolą nie mieli nic wspólnego i traktują roboty polne ze stanowiska zwyczajów miejskich, bez zamiłowania, przyzwyczajenia i znajomości. Nadto są z sobą często nieżyci. Spółki takie, ażeby udały się, musiałyby być złożone z bezrolnych robotników wiejskich, powiązanych nadto już oddawna w związki zawodowe. Spółka współdzielcza jest jedną z trudniejszych form samorządu i ażeby powiodła się masowo, na to trzeba długiego uprzedniego wyszkolenia w kierunku zrzeszenia i samodzielności.

W.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Konstanty Wojciechowski: *Zwięzły podręcznik do historyi literatury polskiej*. Lwów. Nakład księgarni Stanisława Kohlera. 1899, str. 189. — Tegoż: *Kajetan Koźmian*, życie i dzieła. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, str. 232.

Wobec takich zasadniczych wad książki podręcznej, inne jej usterki maleją, chociaż są dotkliwe. Nie myślę wytykać licznych pomyłek w datach, nazwach itp., gdyż te mogą być w znacznej części omyłkami druku, chociaż w spisie błędów jeden tylko kazano sprostować; nie mogę jednak pominąć kilku szczegółów wydatniejszych.

P. W. troszczy się o to niejednokrotnie, że nie wiadomo, *do kogo należał* ten lub ów rękopis naszej literatury średniowiecznej, i frazes ten stereotypowo powtarza, jak gdyby dzisiejszemu uczniowi cokolwiek na tem zależeć mogło, albo jak gdyby to było jakieś ważne historyczno-literackie zagadnienie, które nawet w tak „zwięzłym“ podręczniku poruszyć trzeba było koniecznie. Zamiast takich frazesów, najniepotrzebniej zajmujących miejsce, lepiej było podać wykaz przynajmniej wierszowanych zabytków polszczyzny z wieku XV, a nie poprzestawać na dwu wierszach ogólnikowych, że zabytków takich „nie brak“ (str. 12).

Nowe opracowania, dotyczące naszej literatury dawnej i nowej zna p. W., ale nie w tym stopniu, jakby tego wymagać można od autora podręcznika. O Reju np. umie on powiedzieć to tylko, co już oddawna wiadomo, a i to nie zawsze dobrze powtarza, twierdząc np., że Rej wydawał już psalmy i pieśni w r. 1533, kiedy dowiedziono, że tak nie jest. Prac p. Brücknera o Reju, tak ciekawych i tak ważnych („Wyrwas.“ „Kupiec“), ani wydania „Kupca“ zupełnie nie uwzględnia.

Mówiąc o wieku XVII, autor najspokojniej w świecie utrzymuje, że było wtedy „wiele utworów religijnych, ale nie zamierzonych na większą skalę“ (str. 34). A kiedyż obszerniejsze wydawano w tym duchu utwory, jeżeli nie wówczas? Kiedyż to powstały ogromne poematy Odymalskiego, Gawłowickiego itd.

Wybór autorów, zrobiony przez p. W. jest wogóle trafny, gdyż co do poetów przynajmniej przedstawił tych, których zazwyczaj w podręcznikach podawano. Ale i tu nie widzimy staranniejszej, krytyczniejszej zasady. Ponieważ Odyniec, Korsak, Witwicki w czasach panowania romantyzmu zajmowali w podręcznikach miejsca poczesne, więc nie odmówił im także i nasz autor, ze szkodą innych mniej przez tradycyę uprzywilejowanych. Odyniec i Korsak mogą być wzmiankowani przygodnie tylko jako przyjaciele Mickiewicza i w literaturze zajmują stanowisko tłomaczów głównie. Witwicki zaledwie jako prozaik może być uwzględniony w podręczniku krótkim, bo jako poeta w ostatnim rzędzie stać chyba musi. Tymczasem p. W., choć zna ich słabość, obrabia ich przecież stosunkowo dość obszernie, a o takich poetach oryginalnych, jak Gustaw Zieliński (autor Kirgiza), Ryszard Berwiński, Edmund Wasilewski, albo o takiej poetce w prozie, jak Narcyza Żmichowska (Gabryela) nie uczynił nawet wzmianki. W botanice wynalazł znakomitość, niejakiego *Warszewicza* (str. 157), który według „Bibliografii“ Estreichera ogłosił kilkokartkowe *spisy* nasion i roślin, mających obieg w handlu... Może był Warszewicz dobrym inspektorem ogrodu botanicznego w Krakowie, ale w literaturze nie ma prawa figurować, tem bardziej, że owe *spisy* układał po niemiecku lub po łacinie. Chyba ktoś zażartował z autora, podsuwając mu to nazwisko do jego podręcznika...

Jeszcze jedna uwaga. P. W. starannie podaje, skąd poeci nasi, mianowicie romantyczni brali pomysły od swoich utworów, poczytując to widocznie za największą zdobycz badań historyczno-literackich. Nie sądzę, żeby postąpił pedagogicznie; najprzód dlatego, że wyliczenie nazwisk autorów cudzoziemskich niewiele może nauczyć, a powtóre, że daje fałszywe pojęcie o twórczości naszych poetów. Już niektórzy badacze t. zw. „genezy“ utworów nie umieją utrzymać miary w stwierdzaniu zależności naszych poetów od obcych, a cóż dopiero uczniowie. Jeżeli uczeń wyczyta na str. 122, że Słowacki wziął pomysł do „Mazepy“ z „Mazepy“ Byrona, że szczegóły historyczne czerpał z Bandtkiego i powieści Bronikowskiego, że ulegał wpływowi Kolderona, Wiktora Hugo, Szekspira, Schillera, Balzaca: to zaznajomiwszy się z tym szeregiem nazwisk i tytułów dzieł (które pominąłem), czyż nie pomyśli sobie, że w tragedyi Słowackiego

nie ma ani krzty samodzielności, czyż szermując owemi nazwiskami nie będzie się uważał za uprawnionego do pomiatania dziełami Juliusza Słowackiego? Nic naturalniejszego w młodzieńcu, jak pochopne uogólnianie. A gdy zobaczy, że „Podręcznik" wciąż mówi o takiej zależności naszych pisarzów, to będzie lekceważył wszystko; a chyba to nie było zadaniem autora. Z takiemi suchemi wzmiankami o wpływie i zależności trzeba być nader ostrożnym w podręcznikach; stosowne dla nich miejsce w monografiach, gdzie można dokładnie omówić stosunek oryginalności i zależności danego pisarza.

Taką monografię napisał i p. Wojciechowski, opracowując szczegółowo życie i dzieła „Kajetana Koźmiana." Nie chcąc, ażeby czytelnik tego artykułu nabrał złego wyobrażenia o autorze „Podręcznika," winienem powiedzieć, że jego monografia jest wyborna, świadczy o sumiennych studyach, o umiejętności wydobywania szczegółów charakterystycznych zarówno z rysów życia, jak i z tworów, o słusznej mierze w ocenie zależności Koźmiana od wzorów łacińskich i francuskich.

Nie było bardzo wdzięczne zadanie zagłębiać się w życie i dzieła „arcy-klasyka," ale w interesie badań historyczno-literackich dokonać go należało, gdyż dotychczas prócz pobieżnych fejletonowych zarysów nie mieliśmy o nim nic gruntowniejszego. Praca p. Wojciechowskiego jest wyczerpującą przynajmniej co do poetyckiej strony działalności Koźmiana; o prozie jego jest tu wprawdzie także mowa, lecz mniej dokładna, mniej zadawalająca, szczególniej co do oceny „Pamiętników."

Trochę panegiryzmu, właściwego wszystkim niemal monografistom, jest i w dziele p. W., ale tylko w ocenie rozumu i charakteru Koźmiana, który z samych faktów przytoczonych przez autora nie przedstawia się tak niepospolitym, jak p. W. twierdzi w uogólnieniach. Owszem widnokrąg myślowy twórcy „Ziemiaństwa" i Charakterystyki Lelewela jest i szczupły i zacieśniony bardzo; wytrawnym politykiem nazwać go niepodobna; był tylko zdolnym referentem i ukształconym retorem, który w pewnej dobie rozwoju zatrzymał się i zakamieniał.

Ocena wierszy Koźmiana wogóle jest trafna; wykazanie zależności jego od Horacego, Wirgiliusza, Woltera, Delille'a, Etienne'a jest bardzo staranne i bardzo sumienne. Nie zgodziłbym się tylko na dopatrywanie wielkiej poezyi w odach Napoleońskich: mojem zdaniem są one, tak jak i inne wiersze Koźmiana, retorycznie tylko piękne, z tą wrodzoną retoryce wadą, że prawdziwego, szczerego uczucia w nich nie widać.

Pracą o Koźmianie, wykonaną rozważnie, z namysłem, dał p. Wojciechowski cenny przyczynek do dziejów literatury naszej i zapisał swe nazwisko w liczbie tych, co naprawdę wzbogacili dziedzinę krytyki naszej. Jeden błąd faktyczny (spóźniona o kilkanaście lat data śmierci Osińskiego) szpeci wprawdzie tę monografię, jest czemś niezrozumiałem w studyum specyalnem; ale oczywiście na całość nie rzuca cienia. Tem przykrzej mi było wypowiedzieć surowe zdanie o „Podręczniku." Pisał go widać autor pośpiesznie, nudził się tą robotą, podawał streszczenia, byle co prędzej pozbyć się kłopotliwego zajęcia, o styl, o opracowanie zgoła nie dbał: a ten przypuszczalny sposób powstania książki odbił się niekorzystnie na jej wykonaniu, sprowadził cały szereg usterek przykrych, niedających się łatwo usunąć. Jedno tylko na obronę autora powiedzieć można, że utworzenie dobrego podręcznika należy do rzeczy najtrudniejszych.

Piotr Chmielowski.

Adama Mickiewicza rozprawa o Jakobie Boehmem. Warszawa, nakładem *Przeglądu Filozoficznego*. 1898, str. 34. Rozprawkę tę, spisaną w r. 1853 z ust Mickiewicza po francusku przez znanego księgarza paryskiego i przyjaciela naszego poety Armanda Levy'ego, spolszczył świeżo (w Zakopanem, w czerwcu 1898), dr. Piotr Chmielowski. Stanowi ona cenny autobiograficzny przyczynek do charakterystyki doktryny Mickiewicza z okresu smętnych i zamętnych jego dumań nad duchowem odrodzeniem ludzkości, przebudowaniem kościoła powszechnego itp. Do źródeł, jakiemi reformator-poeta podsycał własne swe w tym kierunku pomysły i plany, należą w pierwszym rzędzie pisma Boehmego, mistyka-samouka, urodzonego w r. 1575 na Szlązku (zm. tamże 17 listopada 1624). Syn poety, Władysław Mickiewicz, podał spis dzieł Boehmego, których tytuły mówią niekiedy same za siebie, jak np. „O potrójnem życiu człowieka" (z r. 1620), „O odrodzeniu" (1622), „O przeznaczeniu zbawienia" (1623), „O sądzie ostatecznym" (1624) itd. Nauka Boehmego szybko szerzyła się w Niemczech i nabrała wkrótce takiego rozgłosu, że król angielski Karol I, wyprawił w r. 1641 na Szlązk umyślnego uczonego dla przetłomaczenia pism sławnego mistyka. W prelekcyach Mickiewicza znajdujemy zapewnienie, że „Boehme, szewc niemiecki, niezależnie od jakiejkolwiek szkoły stworzył rozległy system teozoficzny i wielki wpływ wywarł na filozofów niemieckich," szczególnie na Schellinga. Biograficzne szczegóły o życiu Boehmego przekazał potomności uczeń jego Frannenberg; od niego wiemy, że „mistrz" pomimo spokojnego i regularnego trybu życia („ożeniony z córką rzeźnika, miał czworo dzieci, żył w najlepszej zgodzie z żoną"), doznawał widzeń proroczych, zachwytów nadzmysłowych itp. Zaimprozowane dla Armanda Levy'ego streszczenie nauki Boehmego (przerwane i niedokończone z powodu innych zajęć) rozpada się na cztery części: 1) o wszechbyciu, Bogu i szatanie; 2) o księdze rodzaju *(Genesis)*; 3) o człowieku pierwotnym; 4) o stanie stworzenia po upadku człowieka i konieczności nowej siły naprawczej... Oceniać lub krytycznie roztrząsać te wywody - zadanie to, na potrzeby czasów naszych za ciężkie. Przytoczymy parę zdań luźnych. „Gdyby człowiek utrzymał się w stanie, w jakim był po stworzeniu kobiety, to byłby rozpowszechnił rasę pośrednią między aniołami a zwierzętami — rasę czystą i prawowitą według Przyrody." „Przyroda widzialna, dotykalna, to jest zmysłowa, istnieje jedynie wskutek nienormalnego faktu buntu Duchów." Bóg, jako wszechogół, obejmuje ciemności i światło, cierpienia i szczęście, głębie i wyżyny; a ponieważ objawił się całkowicie w człowieku — człowiek może zatem, badając sam siebie do głębi, przeniknąć do otchłani cierpień, nazywanej piekłem, wznieść się ku wyżynom zwanym niebiosami i wejść do środka, do najwewnętrzniejszego centrum istnienia, nazywającego się naprawdę Bogiem..." Francuski tekst rozprawy, zamieszczony współrzędnie z przekładem polskim, świadczy, że tłomacz miał przed sobą niemałą trudność do pokonania, ilekroć wypadło przeniknąć do głębi takiej wewnętrzności najwewnętrzniejszej. Ci niemieccy szewcy z wieków średnich nie żałowali sobie szydeł, gdy zapragnęli dobrać się do przyczyny wszechprzyczyn. Ani się umyć wtedy do nich naszej szlachcie dobrzyńskiej, ze wszystkiemi jej Szczyzorykami, Brzytewkami i Kropicielami...

Długosz: „Dzieło Łonginowa *Pieśń o Pułku Igora*." Warszawa i Kraków, 1897, str. 63. Znany poetycki zabytek literatury staroruskiej z XII lub XIII wieku, wprowadzany zazwyczaj do podręczników szkolnych w państwie rosyjskiem, tłomaczony był na język polski wielokrotnie, między innymi w mowie wiązanej przez biskupa Stanisława Krasińskiego, Augusta Bielowskiego, Michała Balińskiego; p. Długosz podał świeżo dosłowny jego przekład, zastosowany do obecnego stanu studyów i komentarzy nad tą „Pieśnią" w literaturze rosyjskiej — ze szczególnem uwzględnieniem wersyi opracowanej przez Arkadyusza Łonginowa i nagrodzonej w r. 1894 przez Akademię nauk w Petersburgu. Do przekładu dołączone zostało zwięzłe streszczenie samego dzieła Łonginowa. Praca zasługuje na uznanie, gdyż, jak słusznie powiada p. Długosz, *Pieśń o pułku Igora* „równie dobrze należeć może do literatury ruskiej jak i polskiej, tem bardziej, że sama treść pieśni jest dziejowo pokrewną." Znawcy mieliby zapewne niejedno do zarzucenia wersyi Łonginowa w wierszu np. *Diw kliczet werchu drewa*, nie wiemy, dlaczegoby *drewo* oznaczać miało „przestworze," a wiersz sam tłomaczyć należało. „Dziwo w górze przestworza złorzeczy" wtedy gdy oryginał powiada najprościej, że *dziwo woła z wierzchołka drzewa*. Całość wszakże tłomaczenia polskiego przedstawia się ładnie i ma koloryt wyśmienicie archaizmy oryginału naśladujący.

Aleksander Ostrzeniewski: „O zamieszkalności światów." Warszawa, nakładem autora, 1898, str. 22. Broszurka ta ma od frontu niektóre pozory poszukiwania ściśle naukowego. Autor, „inżenier-technolog" (jak sam to w końcu rozprawki zaznaczył), usiłuje dowieść, że rozwiązanie kwestyi, o której mowa w tytule, przyspieszonem być może przez budowę teleskopów złożonych, „zbiorowych" (tak soczewkowych, jak i zwierciadłowych), urządzonych na wzór „oka owadu," która składa się z olbrzymiej liczby oczu pojedynczych, to jest soczewek oddzielnych, złączonych w jeden układ" (str. 14): pomysł takiego teleskopu poparty został rachunkiem i dwoma rysunkami. Autor dowodzi nadto, że z pomocą ulepszonych przyrządów fotograficznych moglibyśmy przyjść do szczegółowszego nieco, niż dotąd poznania miejsc, z których światło dochodzi (z gwiazd np.). Jakkolwiek pożądania i zagadnienia te nie są nowe, dopuścić je wolno do dyskusyi poważniejszej, bo względu, że sam autor osłabił znacznie swe założenia, powiadając w jednem miejscu, że z pomocą środków i fizycznych narzędzi badania „możemy zdobyć bardzo wiele, a możemy i nic nie odkryć..." Nagle atoli, od fizyki, optyki i mechaniki autor przerzuca się na pole dociekań moralnych i duchowych, wykazując, na podstawie cytat z Pisma św., że „światy uczynione są przez Boga na *mieszkanie*, jak to Sam (?) ogłasza"; powtóre, że „postać istot umysłowych, mieszkańców nieba, jest postacią *ludzką*," gdyż postać ludzka jest „najdoskonalszą z ustrojów i form." Z ostatnich słów czy nie należałoby wnosić, że autor należy do szczęśliwego pocztu istot zakochanych?...

Gerwazy Courtellemont: „Podróż do Mekki," przełożył z francuskiego Kazimierz Krol. Warszawa, u Centnerszwera, 1897, str. 70. Zwyczajny, nie mniej od tysiąca innych zajmujący opis wycieczki amatorskiej, w przebraniu zastosowanem do okoliczności. Courtellemont jest niezaprzeczonym miłośnikiem Wschodu i dowody tego zamiłowania złożył w szeregu dawniej wydanych podróży p. t. „Algier malowniczy," „Kair" z przedmową Loti'ego, „Jeruzalem-Damaszek" itd. Tłomacz ostatniej jego wycieczki (czy też może wydawca) zapewnia w przedmowie, że „obraz wrażeń, doznanych w Mecce przez podróżnika, skreślony został lekko, barwnie a prostemi słowy." Być może... prawdopodobnie. Zachodzi tylko pytanie, czy owa lekkość, barwność, prostota nie zostały osiągnięte *sztucznie*, wskutek operacyi dokonanej na oryginale, do której przedmowa otwarcie się przyznaje. Oto ze sprawozdania Courtellemonta wyrzucone zostały miejsca „tchną-

co powszechną dziś u Francuzów stronniczą niechęcią względem Anglików." tuzież ustępy nacechowane „przesądnem uwielbieniem ideałów religijnych dalszych od nas ludów" — uwielbieniem „dość pospolitem i modnem nietylko u Francuzów, a mającem źródło w zaniedbywaniu *wyższych* nad nie zasad moralnych *bliższego nam świata...*"

Kazimierz Krauz: „Socyologiczne prawo retrospekcyi" (odbitka z *Ateneum*). Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898, str. 32. Jest to streszczenie i uzupełnienie dwóch odczytów autora z lat 1894 i 1895 wygłoszonych na I i II zjeździe międzynarodowego Instytutu socyologicznego. Pierwotnie prawo retrospekcyi czyli wstecz-poglądowości p. Krauz formułował tak: „Wszelki ruch dążący do zmiany podstaw ustroju społecznego, zwraca się najpierw do jakiejś mniej lub więcej oddalonej epoki z przeszłości." W nowej edycyi to samo prawo brzmi: „Ideały, któremi wszelki ruch reformacyjny pragnie zastąpić istniejące normy społeczne, podobne są zawsze do norm z bardziej lub mniej oddalonej przeszłości." W wywodach swych autor łączy historyozofowiczne pomysły Vico'a i Hegla (trójcowy przewód rozwoju) z prawem naśladownictwa Tarde'a i z tezami ekonomicznemi Engelsa, Marxa itd. Rzecz specyalna — bardzo dobrze pomyślana i obmyślana, ale zanadto trościwie przedstawiona.

Aleksander Maryan Jasiński: „Współcześni powieściopisarze angielscy." Warszawa i Kraków, 1897, str. 212. Zbiorek składa się z czterech szkiców. Dwa pierwsze poświęcone Hall Caine'owi i Rudyard Kiplingowi, o których autor powiada, że dzieła ich, owoc „niezwykłego talentu stanowić będą epokę w dziejach literatury angielskiej." Dalsze dwa zarysy, o G. Allen'ie i T. Hardy'm, dlatego, tylko ujrzały światło dzienne, że obaj ci powieściopisarze „wnieśli do literatury angielskiej dzieła z cechą wybitnie naturalistyczną, o tendencyi nietylko przeciwnej moralności, ale dążącej do przewrotu obecnego porządku społecznego..." „Jad, ukryty w powieściach Allen'a i Hardy'ego — dodaje nieco niżej nieubłagany recenzent — nie może iść w porównanie z jadem powieści Zoli i Bourget'a — tak dalece jest zabójczym dla moralności." Ponieważ autor formalnie przytem oznajmia, że mu idzie o „przestrzeżenie" czytelnika przed tym jadem, wzmiankę o jego pracy mielibyśmy prawo zamknąć na tem powtórzeniu przestrogi. Dodamy atoli, że zastanowiło nas zbyt dosadne w niektórych miejscach wysłowienie się autora czterech tych szkiców. O Allen'ie powiada np. w jednem miejscu (str. 171), że „na podobieństwo upadłej kobiety najniższego gatunku szafował on i szafuje swojemi przekonaniami za pieniądze." Wobec tego wygórowania nagany, bledną czołobitne pochwały dla Kiplinga, który aż po dwakroć porównany został do „naszego wielkiego... do naszego nieporównanego Sienkiewicza" (85, 115) — a wprost ckliwo jakoś robi się w duszy, gdy czytamy, że Caine'a dzieła i życie „poszczególnie będą analizowane i rozbierane przez pisarzy przyszłości" — za to tylko, że „nie jest pisarzem kosmopolitycznym" (75, 76). Dziwnie wygląda również kwalifikacya Hardy'ego, iż jest szkodliwszym jeszcze od samego Allen'a, gdyż człowiek ten ma „własne przekonanie i talent" (206).

W DALI.

Kowno. *Pribalt. List* podaje następujące szczegóły: Włościanie-litwini z powiatów Kowieńskiego, Poniewieżkiego i Szawelskiego, z gmin surwiliskiej, krakinowskiej i skieńskiej zwrócili się do p. gubernatora kowieńskiego z prośbą o pozwolenie im drukowania w języku ojczystym litewskim książek i in. wydawnictw praktycznych. Podanie swoje uzasadniają tem, iż słowo drukowane może im dopomódz do pokonania obecnego stanu ubóstwa, wynikającego z ogólnych przesileń gospodarczo-rolniczych.

Kijów. *Russk. Wied.* donoszą, że gubernatorowie kijowski, podolski i wołyński otrzymali od generał-gubernatora kijowskiego zawiadomienie o ostatecznej uchwale ministeryum spraw wewnętrznych dotyczącej wprowadzenia jaknajprędzej instytucyi naczelników ziemskich. Rewir każdego naczelnika ma obejmować 3—5 gmin z ludnością 10—15,000. Wprowadzenia zaś samorządu ziemskiego w kraju południowo-zachodnim spodziewać się można dopiero po wprowadzeniu naczelników ziemskich, którzy zastąpią sędziów pokoju i komisarzy włościańskich, a więc nie wcześniej, aż pod koniec 1900 roku. Potwierdzając wiadomość powyższą, *Kijewl.* donosi, że w Kamieńcu Podolskim, z rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych, władze dopełniają już przygotowawczego podziału guberni na rewiry i sporządzają etaty naczelników ziemskich, sędziów miejskich i zjazdów powiatowych. — Zarząd intendentury okręgu wojskowego kijowskiego ogłosił licytacyę na dostawę 300.000 pudów żyta na warunkach bardzo korzystnych. Pomimo to ziemianie gub. Kijowskiej przyjęli tę ofertę tak obojętnie, iż intendentura musiała przedłużyć termin licytacyi na miesiąc, tj. do 13 marca rb.

Smoleńsk. D. 7 lutego — donosi nasz korespondent — w Smoleńsku odbył się koncert, a potem bal na korzyść ochronki katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Dużą salę przepełniła publiczność nietylko miejska, lecz i przyjezdna — z gub. Smoleńskiej i ościennej Mohylowskiej. W koncercie wzięli udział: p. K. Urbanowicz (fortepian), p. Erazm Pietkiewicz (skrzypce), p. M. Odlanicka (śpiew) i p. Maler (akompaniament na fortepianie). Koncert dał czystego dochodu przeszło 700 rb. Bądź co bądź, popieranie instytucyi dobroczynnej, chociaż taką drogą pośrednią, świadczy dodatnio o tych, którym ona leży na sercu. Szerszy ogół możeby więcej myślał o donioslych sprawach społecznych, gdyby swej duszy nie sprzedał... klubowi, a sprzedał ją dosyć drogo. Ta piękna instytucya, pielęgnująca karciarstwo i próżniactwo, opiera swoje istnienie materyalne przeważnie na kartach. Z dziesięciu tysięcy rubli zysku rocznego miała *sześć tysięcy siedemset* z kar za granie w karty po godz. 2-ej w nocy. Wyobraźmy sobie, jak olbrzymią musi być suma pieniędzy przegranych, skoro procent od niej wynosi 6,700 rb.!

Petersburg. *Juridiczeskaja Gazeta* donosi, że sąd wojenny nadamurski skazał zbiegłych z Sachalinu: Wasila Leszczyńskiego, Głowackiego i Sidorowa-Kuźmina za ograbienie kościoła katolickiego we Władywostoku i zabójstwo dwu stróżów kościelnych, (ks. proboszcz Szpiganowicz uniknął śmierci dzięki chwilowej nieobecności); na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok ten, zatwierdzony przez generał-gubernatora nadamurskiego Grodekowa, wykonano w dziedzińcu więzienia władywostockiego w d. 24 listopada. Kto wie, czy jeden z tych skazanych, Głowacki, nie jest szczegółowo i obrazowo opisany przez Doroszewicza w „Sachalinie." — Z powodu uszkodzenia telegrafu depesze z Tomska do Omska są przesyłane pocztą. *Wost. Obozr.* zaznaczają, iż kolej odmawia technikom i robotnikom telegrafu drezyn i wagonów, skutkiem czego partye robotników, naprawiających telegraf, brną po kolana w śniegu, pieszo odbywając drogę wzdłuż linii 900-wiorstowej. — W nr. 10 *Zb. praw* ogłoszono rozporządzenie, nadające generał-gubernatorowi turkestańskiemu, na przedstawienia gubernatorów wojennych, prawo odwoływania sędziów ludowych z wyboru w Syr-Daryi, Ferganie i Samarkandzie.

KRONIKA.

Książka pamiątkowa. Grono literatów, przedstawicieli inteligencyi i młodzieży wręczyło Aleksandrowi Świętochowskiemu książkę pamiątkową, zapowiedzianą przed dwoma laty z powodu jego jubileuszu, a obejmującą prace 88 autorów polskich.

Portret Mickiewicza. P. Leon Wańkowicz prosi nas o zaznaczenie, wobec rozmaitych nieprawdziwych twierdzeń, że autentyczny portret Mickiewicza, malowany przez Wańkowicza, znajduje się w Śmiłowiczach (gub. Mińska), dokąd dostał się nabyty w Petersburgu, w r. 1834 czy 1835, przez Aleksandra Moniuszkę za 5,000 rb. i przeszedł na własność jego wnuka, p. L. Wańkowicza.

Kuratorya trzeźwości. P. Nabludatiel, pochwaliwszy trzy pisma warszawskie za przychylne głosy w tej sprawie, tak kończy swój wywód w *Pet. Wiedom.*: „Niepodobna dopuścić, ażeby kuratorya trzeźwości stały się ogniskami propagandy przeciwrządowej, a byłoby to całkiem możliwem, gdyby sprawa była oddana wyłącznie tylko społeczeństwu polskiemu, którego większość dotąd jeszcze nie zdołała gruntownie oswoić się z ideą państwową rosyjską. Nie będąc narzędziem rusyfikacyi, kuratorya trzeźwości w kraju tutejszym nie powinny jednak zażegnywać się od Rosyi i od wszystkiego, co rosyjskie. Opiekunowie ludu — zarówno pochodzenia polskiego, jak rosyjskiego — naturalnie, przejęci będą przeświadczeniem, że nietylko jest rzeczą szkodliwą, ale wprost występną ignorować potężne państwo do którego ten lud należy. Broszura polska lub rosyjska, zawierająca szacowne dla włościanina polskiego opisy życia rosyjskiego, nie może być uważana za kontrabandę w czytelniach kuratoryów trzeźwości, nawet z punktu zapatrywań najzawziętszych pseudo-patryotów."

Wiadomości społeczne. Pod nazwą „warszawskie Towarzystwo odontologiczne" tworzy się w mieście naszem instytucya, mająca na celu sprzyjanie rozwojowi dentystyki, normowanie stosunków pomiędzy przedstawicielami tej specyalności, tudzież zapewnienie tym pracownikom, w razie potrzeby, wzajemnej pomocy materyalnej.

Szkoły. Ministeryum oświaty zatwierdziło wydanie z kapitału budowlanego średnich zakładów naukowych okręgu warszawskiego 30,000 rb. na rozszerzenie gimnazyum w Kielcach. Pożyczka ma być umorzona w ciągu lat dziesięciu.

— Według projektu ministeryum oświaty, jak donoszą *Pet. Wied.*, płace nauczycieli gimnazyów, progimnazyów i szkół rządowych mają wynosić od 900 rb., z dodatkami równomiernymi co lat 5, do 2,000 rb., za 10—18 godzin wykładowych. Jeżeli nauczyciel złoży rozprawę naukowo-pedagogiczną na stopień profesora gimnazyum, pensya może być powiększona wcześnie, niż w okresie lat pięciu.

Zapis. Zmarły w Warszawie przemysłowiec, K. Rudzki, zapisał na cele publiczne 35,000 rb., z tej sumy 5,000 na rzecz Kasy im. Mianowskiego; 30,000 na fundusz stypendyalny im. Konstantego i Antoniny małżonków Rudzkich. Z procentów od tego funduszu nienaruszalnego mają być corocznie wypłacane trzy jednakowe stypendya dla chłopców, uczniów szkół średnich, wyższych, specyalnych rządowych, lub wreszcie prywatnych w Królestwie Polskiem albo mających powstać, z zastrzeżeniem, że korzystać z tych stypendyów mogą tylko chłopcy lub młodzieńcy od lat 9 do 25, należący do narodowości polskiej, bez względu na miejsce ich urodzenia, wyznający religię rzymsko-katolicką, dobrego prowadzenia się i pilni w naukach. Pierwszeństwo w korzystaniu z tych stypendyów będą mieli członkowie 20 rodzin, wymienionych w testamencie. Następnie pierwszeństwo mają dzieci oficyalistów którzy pracowali w fabryce p. f. Rudzki i Sp. w Warszawie, od założenia jej w r. 1858 do czasu przejścia na Towarzystwo akcyjne.

Trasa. W nr. 23 *Peterb. Wiedomosti* wydrukowano, z naruszeniem przepisanego porządku, najpoddańszy adres szlachty moskiewskiej. Skutkiem tego p. minister spraw wewnętrznych postanowił zakazać sprzedaży numerów pojedynczych tej gazety.

Zdrowie publiczne. Wójci gmin otrzymali rozkaz niezwłocznego zawiadamiania lekarzy powiatowych za pośrednictwem naczelników powiatu o wypad

kach dyfterytu śród dziatwy wiejskiej. Środek ten ma na celu zapobieganie rozwojowi choroby.

Konkurs. Akademia umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs z nagrodą, ustanowioną przez dr. Jonatana Warschauera. Temat: „Naukowe uzasadnienie organoterapii na podstawie własnych doświadczeń.“ Praca konkursowa ma zawierać zwięzły zarys historyczno-krytyczny organoterapii, tudzież własne doświadczenia autora. Nie jest wymagane, aby doświadczenia autora obejmowały wszystkie dotychczas znane środki; owszem, autor może opracować dokładnie tylko jeden, bądź już znany, bądź też zupełnie nowy środek. Nagroda 1,200 złr. Prace konkursowe należy nadsyłać bezimiennie do Akademii umiejętności w Krakowie do d. 31 grudnia 1900 r., z dołączeniem koperty, zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autora. Rękopis i koperta mają być zaopatrzone tem samem godłem. Akademia ogłosi rozstrzygnięcie konkursu na posiedzeniu publicznem w maju 1901 r., a wypłaci nagrodę po złożeniu jej wydrukowanej pracy w rocznicę zgonu dr. J. Warschauera, tj. d. 10 listopada.

Wystawy i zjazdy. Wystawa tegoroczna, urządzona przez Towarzystwo wyścigów konnych w Warszawie, odbędzie się 9–13 czerwca. Obejmie wyłącznie konie wierzchowe, zaprzęgowe, robocze i włościańskie.

Przemysł i handel. Ogłoszono ustawę syndykatu rolników w Homlu.

Katastrofy. W nocy na kolei Kazańskiej pomiędzy stacyami Majdanowo a Drakowo spotkały się pociągi towarowe. Nadkonduktor ciężko raniony. Oba parowozy silnie uszkodzone.

Zmarli. Leonard Turczynowicz, b. artysta teatrów rządowych w Warszawie.

— Henryk Lisicki, powieściopisarz i publicysta, w Galicyi.

— Bolesław Syrewicz, w Warszawie, znany artysta-[illegible].

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. P. w Cz. Trzeba uzyskać pozwolenie miejscowej władzy administracyjnej i porozumieć się z prelegentami warszawskimi, którzy niewątpliwie udzielą swych odczytów w rękopisach. Co do P., poprzedni numer *Prawdy* dał Panu odpowiedź. „Poradnik dla samouków“ zawiera wskazówki zaznajomienia się z psychologią.

To be or not to be. Zapewne jakiś dramat w życiu tej kobiety tkwił, ale w opowiadaniu nie ujawnił się.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. Al. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Февраля 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.